Nr. 33. Lwów, Niedziela dnia 13. Sierpnia 1876 r. Rok III.

TYDZIEŃ

LITERACKI, ARTYSTYCZNY NAUKOWY I SPOŁECZNY.

TOM III.

PRENUMERATA we LWOWIE
We wszystkich księgarniach, po cenie: rocznie 14 złr. półrocznie 7 złr. kwartalnie 3 złr. 50 cnt.
PRENUMERATA na PROWINCJI:
We wszystkich księgarniach i urzędach pocztowych: rocznie 17 złr. 60 cnt. półrocznie 8 złr. 80 cnt. kwartalnie 4 złr 40 cnt.
W KRAKOWIE główny skład w księgarni D. E. Friedleina.

Wydawca i redaktor A. J. O. ROGOSZ.
Biuro Administracji i Redakcji:
Ulica Halicka l. 52.

Dla W. Ks. POZNAŃSKIEGO główny skład w księgarni J. K. Żupańskiego w POZNANIU.
PRENUMERATA w POZNANIU:
Rocznie 28 m. półrocznie 14 m. kwartalnie 7 m.
NA PROWINCJI:
Rocznie 34 m. półrocznie 17 m. kwartalnie 8 m. 50 f.

LUŹNE UWAGI.

XXXII.

Opieka nad ubogimi.

Do spraw w naszym kraju najbardziej zaniedbanych, i w których zapominamy zawsze o wszelkich racjonalnych zasadach działania, należy opieka nad ubogimi. Niewątpliwie w rzędzie działań ku społecznym ulepszeniom skierowanych, pierwsze miejsce zajmuje to wszystko, co ma na celu zapobieżenie ubóstwu, a więc takie ekonomiczne i socjalne instytucje i urządzenia, w którychby każda siła umysłowa czy fizyczna znalazła pracę i z pracy tej tak dostateczne utrzymanie, by uniknąć okropnej ostateczności wyciągania ręki po prywatną czy publiczną dobroczynność — instytucje, któreby każdemu żywotnemu przedsiębiorstwu czy gospodarstwu w razie klęsk nieprzewidzianych ułatwiły ratunek własną, samodzielną pracą jednostek, klęskami temi dotkniętych. Że jednak żadne jeszcze społeczeństwo nie dorosło do tego ideału, by w niem nie było wcale ludzi ekonomicznie upadłych, by nie było wcale ubóstwa i nędzy; że dalej na jednostki spadają czasem klęski takie, iż przy najlepszych nawet urządzeniach społecznych ratunek własną pracą jest niemożliwy, np. kalectwo — przeto póki świat światem, nędza i ubóstwo istnieć muszą. Społeczeństwo zaś ma obowiązek, w razach takich nieszczęść przyjść z pomocą i tym, którzy pracować nie mogą, nie dać ginąć z głodu — bo pomijając już samo ludzkie uczucie miłosierdzia, niezaprzeczoną jest rzeczą, iż nędza pozostawiona samej sobie, staje się matką występków i zbrodni, tych rozkładowych w społeczeństwie czynników.

U nas obowiązek ten bywa spełnianym jak najgorzej. Podobni w tem jesteśmy matce, która z wielkiej miłości dla chorego dziecka nie chce mu dać zażyć gorzkiego lekarstwa, i w ten sposób chorobie swobodnie rozwijać się pozwala. Opieka nad ubogimi u nas zdaną jest przeważnie na łaskę dobroczynności prywatnej, działającej zupełnie na oślep, w mniejszej zaś części znajduje się w ręku towarzystw dobroczynnych, które przy niezaprzeczonych dobrych chęciach jednak działają źle.

Prywatna dobroczynność objawia się u nas najczęściej w datkach pieniężnych, wyjątkowo tylko w odzieży, pożywieniu itp. Jest to system najfałszywszy. Żebractwo staje się przez to rzemiosłem. W tych nieszczęśliwych, którzy zmuszeni są rzemiosłu temu się oddać, wyradza się bardzo psychologicznie chciwość grosza. Nakarm go, gdy głodny, daj odzież, gdy przez łachmany wiatr przewiewa a mróz przenika do szpiku, a chciwość się w nim nie obudzi. Ale gdy od domu do domu chodząc, od drzwi do drzwi stukając zbiera po groszu — te brzęczące grosze dla niego biedaka stają się całym światem, całą treścią życia; za nimi dzień cały zbiega, o nich noc całą przemarzy, one mu zastępują rodzinę, towarzystwo — wszystko! W tym składzie rzeczy chciwość grosza wyrodzić się musi. Ztąd też liczne przykłady owych bogatych żebraków, co z publicznej dobroczynności zebrali kapitały — przykłady niemoralne, i w wysokim stopniu antisocjalne. Dalej z owych datków pieniężnych wynika u innych znowu drugi występek: pijaństwo. Kto się zdoła na chwilę wmyśleć w położenie człowieka, żyjącego z jałmużny od domu do domu groszami zbieranej, nie będzie się dziwił, że pewno trzy czwarte części żebraków „zarobek“ swój zostawia w karczmie, oddając się nałogowi pijaństwa.

Źle zatem pojmuje miłosierdzie, kto żebrakom daje jałmużnę w pieniądzach. Ale i innego rodzaju jałmużna, w pożywieniu, odzieniu, przytulisku itp. jeżeli nie ujęta w ład jakiś i organizację, ale udzielana prywatnie — jest szkodliwą. Nigdy człowiek prywatny, wezwany do dania jałmużny, nie może wiedzieć czy proszący jej potrzebuje czy nie. Pozory jakże często mylą! Im mniej kto potrzebuje pomocy, im więcej żebractwo z lenistwa tylko płynie, tem bardziej łudzące przybrać umie pozory. W ten sposób bardzo często wspieramy prywatnie nie nędzę, lecz próżniactwo, nie nieszczęście, ale występek. Równie też często nędza prawdziwa, ale nie bezczelna, skarżąca się skromnie bez wszelkiego komedjanctwa, odchodzi niezaspokojona. Nie masz — i między najbardziej dobroczynnymi — takiego, któryby zawsze i każdemu dał jałmużnę. Gdzież gwarancja, że nie odprawiał z niczem właśnie takich, którzy najbardziej pomocy potrzebują i na nią zasługują? że ich nie skrzywdził na korzyść pijaków i próżniaków, którzy w dzień biały są żebrakami, ale zbrodniarzami pod osłoną nocy. Taka jałmużna prywatna jest zatem w bardzo wielu wypadkach wręcz szkodliwym w społecznych stosunkach czynnikiem, ponieważ krzewi i popiera występki i zbrodnie.

Inaczej rzecz się ma z dobroczynnością publiczną, ujętą w karby racjonalnej organizacji. Tutaj przy dobrem urządzeniu można zawsze sprawdzić stan rzeczy, można w domach pracy wyzyskać pożytecznie siłę, jaką może jeszcze żebrak przedstawia, a tem samem zapobiedz podniesionemu powyżej złemu.

To wszystko jest możliwem — ale tam tylko, gdzie urządzenie tych Towarzystw dobroczynności, tudzież pomocy zazwyczaj ubogim przez gminę udzielanej, jest racjonalniejsze niż u nas. Nasze lwowskie towarzystwa dobroczynności zupełnie celu swego chybiają. Przedewszystkiem trafia je zarzut, że są wyznaniowe. Niezgodne to już z samemi zasadami religji, na której się zazwyczaj towarzystwa te opierają — bo religja ta w znanej przypowieści o Samarytaninie zostawiła właśnie naukę, iż niosąc nieszczęśliwemu pomoc, nie należy pytać, jakiego on wyznania, ale w nędzarzu widzieć tylko człowieka, i tylko nieszczęście jego. Ztąd też, że towarzystwa nasze dobroczynne mają tę cechę przeważnie religijną i wyznaniową, wynika drugie złe — zbyteczne ich rozdrobienie. Gdyby te różnego rodzaju Towarzystwa dobroczynne, jakie u nas istnieją, skupić w jedno, zdziałanoby przez to daleko więcej, aniżeli przy takiem rozdrobnieniu, a co najważniejsza, nie krzyżowanoby się wzajemnie w działaniu, nie robionoby sobie współzawodnictwa, i mając w jednem ręku skupione wszystkie nici tak ważnej sprawy, jaką jest sprawa publicznej dobroczynności, możnaby przez to o wiele racjonalniej ją zorganizować,

o wiele dokładniejsze mieć wiadomości o prawdziwej nędzy, aniżeli teraz, gdy działanie jest rozstrzelonem, jedno Towarzystwo o działaniach drugiego nic nie wie, albo bardzo mało. Dalszym ważnym zarzutem jest to, że zamiast zapobiegać żebractwu, Towarzystwa te, tak jak są dzisiaj zorganizowane, raczej je krzewią. Pomoc publiczna dla nędzy prawdziwej wtedy tylko jest społecznie racjonalną, jeżeli każdego z udających się o tę pomoc, który tylko w jakikolwiek sposób umie pracować, do pracy tej znagli, tym zaś którzy pracować nie mogą, da stały przytułek, i w ten sposób usunie żebraczą włóczęgę. W przeciwnym razie jest ona tylko poparciem próżniactwa, a przez zachęcanie do takiej włóczęgi przyczynia się do krzewienia występku.

Zasady, na których należałoby oprzeć Stowarzyszenia opieki nad ubogimi, byłyby przeto następujące:

1) każdy członek obowiązuje się, iż prywatnej jałmużny udzielać nie będzie, ale każdego zgłaszającego się o jałmużnę odeszle do zarządu Stowarzyszenia;

2) zarząd nie udziela datków pieniężnych, chyba w bardzo wyjątkowych wypadkach, dla tak zwanych „ubogich“ wstydzących się żebrać;

3) Stowarzyszenie założy wielki dom pracy i przytułku, w którymby każdy żebrak, który może do jakiej pracy być użytym, został zatrudniony, kalecy zaś nie mogący pracować, znaleźli przytułek;

4) zarząd Stowarzyszenia urządzi bezpłatne biuro wywiadowcze dla ubogich szukających zatrudnienia;

5) tam gdzie mimo pracy rodzina jest w nędzy, może zarząd udzielać bezpośrednio pomocy, np. w odzieży, w drzewie opałowem, w biletach do taniej kuchni;

6) o ile istniejące fundacje i zakłady nie wystarczają, winno Towarzystwo dobroczynności starać się o zakłady dla sierot, ochronki dla dzieci, których rodzice wychodzą na zarobek zostawiając dzieci bez opieki, o zakłady poprawcze i wychowawcze dla małoletnich przestępców itp.

Na takiej zasadzie oparte Towarzystwo dobroczynności musiałoby działać zgodnie i w ciągłem być porozumieniu z miejscową administracją gminną i policyjną, przez co działalność tak Towarzystw jak i władz, ku wytępieniu żebractwa skierowaną stokroćby była skuteczniejszą.

Rzuciliśmy tylko ogólne, zasadnicze myśli — szczegółowe skreślenie planu działania przekraczałoby ramy naszego pisma. Wyrażamy nadzieję, iż tych kilka ogólnych uwag zachęcą może kogo do szczegółowego przestudjowania kwestji, i zajęcia się czynnie tą sprawą, będącą u nas na najfałszywszych torach.

Pierwszy u mety.

NOWELLA.

I.

(Ciąg dalszy.)

Skończyły się wyścigi. W tym roku dla odmiany wszystkie nagrody zabrały konie p. Kaliksta Ochockiego. P. Tuczyński zaś wziął bez odmiany wszystkie przeszkody i w skutek tego przypadła mu w udziale nagroda dam, tj. puhar srebrny, podobno dziesiąty w rzędzie tych, któremi się już był szczycił. Wszystko więc odbyło się tak, jak się odbyć było powinno, i ludek zadowolony w wesołem usposobieniu powracał do domu, roztrząsając jeszcze po drodze wszystkie cnoty i wady „Kapituły“ i „Zmroka“ i ciesząc się, że przecież nasz Lwowek musi być wielkiem miastem, skoro się w niem co roku odbywają takie piękne i takie zabawne wyścigi.

Niebo nawet, pozbywszy się swojej emocji, uśmiechało się spokojnie zarumienionemi od przebytego wzruszeuia policzkami, i było widocznie zadowolone ze siebie. Wiatr ustał zupełnie. Słońce ostatniemi promieniami zachodu ozłacało rogatkę Janowską. Cała przyroda była majestatycznie spokojną i majestatycznie piekną.

Znanym już wózkiem węgierskim i znaną parą srokatych „jukerów“ powracali pan Stefan z panem Jędrzejem z wyścigów. Obaj byli milczący i zamyśleni. Fedio zdawał się także zatopionym w rozmyślaniu, nie wiem, czy nad pięknością przyrody, czy nad przymiotami jaglanej kaszy ze szperką, która go czekała za powrotem do domu.

Wreszcie przerwał pan Stefan milczenie zawoławszy ze śmiechem, któremu pragnął nadać ton jak najwięcej naturalny, co mu się jednak nie całkiem powiodło.

— Ciekawy jestem przecież, czy też pokaże się w oknie?

— Kto? — zapytał pan Jędrzej, budząc się ze swej melancholicznej zadumy.

— Jakto? jużeś zapomniał? No, ta mała jasna blondynka.

— Aha! — odparł pan Jędrzej — nie przyszła mi na myśl.

— Ej! panie Jędrzeju... — rzekł żartobliwym tonem Stefcio, coś się pan zamyśla, a udaje pan krótką pamięć... o! niebezpieczny symptom...

— Zapewnie ty się znasz lepiej na nich odemnie — odciął się Jędruś.

— Bez żartu mój drogi, kochać się jest głupstwem, dla tego zwalniam cię z tego, ale za to jeszcze raz radzę ci: żeń się!

— Byłbyś wybornym na kaznodzieję, bo co innego nauczasz, a co innego sam robisz, — odparł z uśmiechem pan Andrzej.

— Ciebie przekonywać a głową mury rozbijać — jednaki skutek. Et!... już ja to widzę, prędzej jenerał kamedułów się ożeni niżeli ty — a nawet... wiesz... nawet prędzej ja sam się ożenię, niż ty mazgaju, ha! ha! ha! — I pan Stefan rozśmieszony tym zabawnym pomysłem, śmiał się serdecznie.

Tymczasem zbliżyli się do białej jednopiętrowej kamieniczki. Okno było otwarte jak pierwej — ale w oknie nie było już nikogo.

Pan Stefan resztę drogi był w złym humorze i skarżył się na ból głowy, pochodzący jak mówił z tego prochu przeklętego. Pan Andrzej milczał zatwardziale.

Gdyby jednak nie zmrok silny, jaki panował już, gdy przejeżdżali po pod kamieniczkę, byliby może spostrzegli, że za zbliżeniem się wózka ze srokaczami, firanki muślinowe u okna zadrżały, i gałązki geranium zaszeleściały — chociaż wiatru nie było żadnego.

A gdyby nie turkot powozów, byliby może usłyszeli, jak za temi firankami i wazonkami z rezedą i geranium, odezwał się srebrny głosik dziewczęcy:

— Mamo, mamo, to ten pan z blond faworytami...

— E, moja Anielciu — odezwał się na to głos gruby — to jakiś impertynent... uważałaś jak impertynencko wpatrywał się we mnie?...

— A mnie się zdaje, że to musi być człowiek miły i do rzeczy.

— Ty się nie znasz na tem, Anielciu — odparła doświadczona matka — ten brunet, co siedział obok niego, daleko mi się więcej podobał.

Anielcia na to nic nie odpowiedziała.

II.

Pan Jędrzej powrócił ze Lwowa w niebardzo słodkiem usposobieniu. Sześć dni już było ubiegło od jego powrotu do Garwoliniec (tak się nazywał jego majątek, milę od Lwowa położony, przez pomyłkę nie wpisany do żadnego Skorowidza) a pan Jędrzej z każdym dniem wpadał w gorszy humor. Fakt ten z wielkiem ubolewaniem stwierdziła pani Gwizdalska, która w obrębie obszaru dworskiego Garwoliniec od lat kilkunastu sprawowała urząd ochmistrzyni i klucznicy, opierając swe rządy na formie monarchiczno-absolutnej, bez żadnej przymieszki konstytucjonalnej, panując wszechwładnie w kuchni, piekarni, oborze, krowiarni i ogrodzie, wykonując władzę nieograniczoną nad całym żeńskim personalem folwarcznym, tudzież prawo życia i śmierci nad całą gromadą gęsi, kaczek, kurcząt, cieląt i prosiąt. Zacna ta osoba, jakkolwiek przekroczyła już może wiek w którym zwykło [illegible] udzać się serce, (liczyła już bowiem la[illegible] siedemdziesiąt) przechowała jed[illegible] energji ducha i krzepkość ciała, pewną tkliwość usposobienia i pochopność do dzielenia z drugimi swych wrażeń, doświadczeń i spostrzeżeń, którym przy każdej sposobności udzielała wyrazu za pomocą obfitego potoku słów. Te wrażenia, doświadczenia i spostrzeżenia nie były po większej części najnowszej daty, żadne z nich bowiem nie liczyło zwykle mniej jak czterdzieści lat wieku, przytem ich repertoar, jakkolwiek dobrany, nie odznaczał się zbytnią rozmaitością, przeciwnie objawiał pewną miłą i uspokajającą dla słuchacza jednostajność. Najcelniejsze w nim miejsce zajmowało wspomnienie pewnego monstrualnego wesela, które się miało odbyć przed czterdziestu pięciu laty u jakiejś śp. kasztelanowej, u której pani Gwizdalska służyła podówczas za panne i w którem to pamiętnem zdarzeniu odgrywała wielką rolę. Wesele to było dla niej niewyczerpanem źródłem opowiadania, którego codziennym słuchaczem bywał p. Jędrzej. Temat ten przychodził codzień na stół, jako osobne danie podczas objadu, do którego pani Gwizdalska, ze względu na swój wiek i kilkunastoletnie zasługi, zasiadała wspólnie, z panem domu przy jednym stole. Pan Jędrzej wysłuchiwał codzień cierpliwie opowiadania, którego wszystkie szczegóły umiał na pamięć, tak że mógłby je był w każdej chwili powtórzyć z historyczną dokładnością: jako to

śp. pani kasztelanowa miała na sobie tego dnia suknię aksamitną z weneckiemi koronkami, a panna Teresa (owa legendarna oblubienica i córka pani kasztelanowej) suknię białą atłasową i wieniec mirtowy na głowie, jako cała kolacja była bardzo paradna, tylko jeden tort hiszpański się nie udał, z powodu że kucharz Mateusz w połowie roboty się upił i kuchcik musiał sam tort kończyć; jako śp. kasztelanowa z niewiadomego powodu rozczuliła się i powiedziała do pani Gwizdalskiej: moja Anusiu, jesteś dobrą dziewczyną i jak umrę, to o tem nie zapomnę; jak śp. pani kasztelanowa później w samej rzeczy umarła, ale przed śmiercią nie miała jakoś czasu pamiętać o pani Gwizdalskiej... — tu następowała zawsze pauza żałośnej kontemplacji, z której pan Jędrzej korzystał dyplomatycznie, ażeby wstać od stołu i pójść do swego pokoju na fajkę. W ten sposób istniał pomiędzy panią Gwizdalską a panem Jedrzejem rodzaj milczącej umowy, mocą której pan Jędrzej zobowiązał się wysłuchiwać codzień opowiadania pani Gwizdalskiej, aż do pewnego punktu, przyczem wolno mu było ograniczyć się do roli biernego słuchacza z zachowaniem zupełnej niezawisłości własnych myśli. Jakież więc było zdziwienie p. Gwizdalskiej gdy w kilka dni po powrocie ze Lwowa, pan Jędrzej podczas objadu, w najtkliwszej właśnie chwili opowiadania, przerwał nagle takowe i z pewnym wyrazem zniecierpliwienia zapytał panią Gwizdalskę: czy nie ma mu nic nowszego i zabawniejszego do powiedzenia? Pani Gwizdalska nigdy nie przypuszczała, ażeby mogło się zdarzyć kiedy coś nowszego i zabawniejszego, jak owo wesele u śp. pani kasztelanowej, dlatego mniej byłaby zdumnioną, gdyby się ją był zapytał: czy nie wie, co myśli cesarz marokański w kwestji wschodnio-indyjskiej, albo jaki *bill* przyjdzie najpierw na porządek dzienny przyszłego parlamentu angielskiego? Zamilkła więc urażona i przeszła chwilowo na stanowisko biernej opozycji.

Ten postępek pana Jędrzeja dał jej jednak wiele do myślenia nad powodem, który mógł go skłonić do tak brutalnego pogwałcenia dotychczasowych stosunków dyplomatycznych. Zaraz więc po objedzie przystąpiła do indagacji Fedia, który jednocząc w swej osobie troistą godność furmana, karbowego i przybocznego lokaja pana Jędrzeja, uchodził powszechnie za najpoważniejsze i najlepiej poinformowane źródło w kwestjach dotyczących najbliżej osoby dziedzica Garwoliniec. Fedio jednak, naciskany przez panią Gwizdalskę zapytaniem: co się panu stało? postąpił sobie jak minister konstytucyjny, kiedy nie wie co odpowiedzieć na interpelację, wystosowaną do niego przez parlament, to jest otulił się togą tajemniczą wymownego milczenia, któremu usiłował jeszcze więcej znaczenia nadać zapomocą lekkiego, przeciągłego poświstywania. Koniec końcem jednak nie można było wydobyć z niego nic jasnego, prawdopodobnie dlatego, że sam nic nie wiedział. Pani Gwizdalskiej nie pozostawało więc nic innego, jak to, co każdemu parlamentowi w wyżwspomnianym wypadku to jest udać, że się wybornie domyśla o co rzecz idzie, ale że się szanuje wskazane politycznemi względami milczenie interpelowanego i — ograniczyć się na własnych domysłach i kombinacjach.

Domysłom pani Gwizdalskiej mogło zachowanie się pana Jędrzeja dostarczyć dość bogatego chociaż niejasnego materjału. Istotnie coś się w nim było odmieniło od powrotu ze Lwowa. Zwyczajnie małomowny i zamyślony — teraz stał się jeszcze bardziej milczącym i zamyślonym. Po całych dniach do nikogo słowa nie przemówił, wstawał wbrew swemu zwyczajowi późno i kładł się późno, cały dzień prawie przesiadywał w swoim pokoju, lecz palił tylko fajkę i gazet nawet nie czytał, do gospodarstwa wyglądał mało, wstawał od objadu po trzeciej potrawie, nie czekając leguminy, a wieczorem siadał na konia i powracał dopiero późno w noc. Wąsy kręcił ustawicznie i ostrzył je w szpic, jeden podnosząc do góry drugi na dół, co było u niego złym znakiem.

Tego dnia także pan Jędrzej wstał dopiero około dziesiątej, a potem dwie godziny przesiedział, wpatrując się pilnie w szklankę z kawą, jakby dostrzegł w niej coś bardzo ciekawego. Wreszcie wstał znudzony, zacisnął na głowę kapelusz słomiany i wyszedł do gospodarstwa.

Dwór w Garwolińcach był kształtu staroświeckiego z gankiem i z dachem pokrytym słomą i tylko u dołu garnirowanym gontami. Podwórze otoczone było żywym płotem, a wjazd stanowiła brama z drewnianych sztachetów, osadzono na słupie ruchomym, tak że obydwa skrzydła razem się otwierały i razem zamykały. Kilkaset kroków od domu, zakryte sadem leżało gumno z zabudowaniami gospodarskiemi, a jeszcze dalej koło małego potoczku, stała gorzelnia murowana. W tę stronę zwrócił pan Jędrzej swe kroki.

Jeden rzut oka przekonywał o panującej wszędzie czystości i wzorowym porządku rzadkich w naszych gospodarstwach szlacheckich. Budynki były świeżo pobielone, nigdzie śmiecia, nigdzie brudu, nigdzie zaniedbania. Było to gospodarstwo w całem słowa tego znaczeniu wzorowe i praktyczne. Jeśli więc prawdziwym był zarzut czyniony ustawicznie panu Jędrzejowi przez pan Stefana, że był nieporadnym mazgajem i niepraktycznym fantastą, to albo należało przypuścić, że u pana Jędrzeja w Garwolińcach jaki bożek dobroczynny służył za ekonoma, który gospodarował racjonalnie i nie kradł, albo też, że „niepraktyczny“ pan Jędrzej musiał sam miewać rzadkie przystępy praktyczności, a może i w ogóle nie był tak „niepraktycznym,“ za jakiego go miał pan Stefan, i za jakiego nawet on sam siebie zdawał się poczytywać.

Dzień był niezmiernie skwarny, na niebie było już południe — robotnicy „południenkowali“ na gumnie panował więc zupełny spokój i cisza. Tylko pod stodołą stado kaczek odbywało mityng i wiodło ospałą dyskusję, prawdopodobnie o wyższości owsa nad jęczmieniem.

Pan Jędrzej przeszedł się kilka razy po gumnie, nie patrząc na nic, błądząc jakby bez celu, i powrócił do dworu.

Podano objad. Podczas objadu panowało uroczyste milczenie, przerywane tylko chwilami na wpół demonstracyjnem chrząkaniem pani Gwizdalskiej. Po trzeciej potrawie pan Jędrzej wstał i wyszedł do kancelarji na fajkę. Po chwili wszedł Fedio i oświadczył.

— Proszę jaśnie pana, Halberstein przyjechał i chce się widzieć z jaśnie panem.

— Niech mi da pokój, nie mam do niego żadnego interesu.

Fedio wyszedł i wrócił po chwili.

— Proszę jaśnie pana, kiedy on powiada, że on ma interes do jaśnie pana.

— To go wpuść, ale każ mu pierwej nogi wytrzeć.

Po chwili zjawiła się w progu osoba pana Halbersteina, grubego żyda z dobroduszną fizjognomją. Halberstein handlował w całej okolicy wódką i zbożem, był faktorem całej okolicznej szlachty, trzymał w arendzie kilka karczem, używany był do wszystkiego i o wszystkiem wiedział.

— Cóż Halberstein ma za interes do mnie? — zapytał kwaśno p. Jędrzej.

Żyd podrapał w głowę, popatrzył z boku na pana Jędrzeja i zapytał:

— Nu, może wielmożny pan ma wódkę na sprzedaż?

— Nie mam.

— Ajajaj! jakby wielmożny pan nie miał, to ktoby miał? wielmożny pan zawsze ma.

— Powiadam ci, że nie mam.

— Nu, to wielmożny pan ma żyto na sprzedaż?

— Nie mam.

— Ej, wielmożny pan żartuje! Wielmożny pan czegoś nie łaskaw na Halbersteina.

— Nie nudź mnie.

— Nu, to kiedy ja wielmożnego pana nudzę, to ja pojadę do Buraczkowiec do pana Szwitza — odparł żyd kłaniając się i obracając powoli do drzwi.

— Co to za pan Szwitz?... — zapytał pan Jędrzej od niechcenia.

— Jakto, to wielmożny pan nie wie? To *wun* wziął na święty Jan posesję Buraczkowiec od pani Zaklińskiej.

— Cóż to za pani Zaklińska?

— Ajaj! to wielmożny pan także nic nie wie? To ta wdowa po komorniku, co kupiła Buraczkowce od pana Waligrodzkiego.

— Cóż to za jedna, ta pani komornikowa?

— Aj aj, to wielmożny pan nic nie wie?...

— Wiesz przecież, że z nikim nie żyję i nic nie wiem, co się dzieje w okolicy.

— To ja wielmożnemu panu powiem. To był taki komornik, co miał dużo pieniędzy. A potem *wun* umarł. A potem *wona* kupiła Buraczkowce od pana Waligrodzkiego i puściła w possesję Szwitzowi.

— To ona nie mieszka sama w Buraczkowcach?

— Broń Boże! *wona* mieszka we Lwowie ma swoją kamienicę na Janowskiem przed samą rogatką. I *wona* ma córkę. — To wielmożny pan nie widział panny Anieli?

— Jakżem miał widzieć, kiedy pierwszy raz o tem wszystkiem słyszę.

— Aj waj! *a schenes Fräulein!* takie ma włosy jak konopie! *wona* widziała wiel-

możnego pana, jak wielmożny pan jeździł na te sztuki końskie z panem Stefanem — i komornikowa także widziała wielmożnego pana, *wona* mi to sama mówiła i pytała co wielmożny pan za jeden.

Pan Jędrzej roześmiał się:

— Cóżeś jej powiedział?

— A cóż ja jej miał powiedzieć? Ja jej powiedział, co wielmożny pan jest taki pan, co drugiego pana takiego nie ma.

— Dziękuję ci że mi robisz dobrą reputację — odparł pan Jędrzej, wpadając jakoś w lepszy humor.

— Co, dobrą reputację? Na co wielmożnemu panu dobrą reputację? Wielmożny pan jakby chciał, to by się wielmożny pan zaraz ożenił z panną Anielą — ajwaj! to *cimes Fräulein! wona* będzie miała *Zweimalhundert tausend* po matce — żeby ja tak był zdrów.

— A dajże mi pokój! — zawołał śmiejąc się pan Jędrzej — może ci obiecała faktornego?

— Jakie „faktornego?" Na co „faktornego?" — odparł Halberstein z wyrazem urażonej godności własnej — Halbersteina wszystkie panowie znają, — Halberstein z wszystkimi panami robi interesa, Halberstein nie taki, coby się oglądał zaraz na „faktornego" a zrobi się interes, nu to wtedy co łaska pańska, a Halberstein nie pyta naprzód, ile mu kto da „faktornego."

— No, no, nie gniewaj się, panie Halberstein — rzekł pan Jędrzej z uśmiechem — wiem żeś porządny żyd, jak wyjdzie arenda Herszkowi, to tobie wypuszczę.

Pan Jędrzej rozmawiał jeszcze z kwandrans z Halbersteinem, poczem tenże odjechał, ale już nie do Buraczkowiec tylko gościńcem stryjskim wiodącym do Lwowa, zapewne dlatego, że droga do Baraczkowiec była zła a wieczór był późny.

Po odjeździe Halbersteina, pan Jędrzej stał długo przy oknie i bębnił palcami po szybach. Z zadumy tej wyprowadził go Fedio, który wszedł do kancelarji z listami i gazetami przyniesionemi z poczty.

Pan Jędrzej przeglądnął adresy listów na jednym z nich poznał pismo pana Stefana otworzył go więc i począł czytać.

(C. d. n.)

Z dziedziny nauk przyrodniczych

przez

Dr. Z. Rościszewskiego.

XV.

Typ kręgowych.

„Je weiter Du wirst aufwärts gehn
Dein Blick wird immer allgemeiner,
Ein desto grösser's Theil wirst Du von Ganzen sehn
Und alles Einzelne immer kleiner".

Goethe.

Tak wiele mówiliśmy o kręgowych zwierzętach, iż trudno na pozór byłoby, przypuszczać aby szanowny czytelnik jasnego nie miał wyobrażenia co jest kręgowiec, jakie jego cechy, po których rozeznać go można od całej grupy bezkręgowych. A jednak śmiem wątpić, czy rzeczywiście tak jest i w tym celu bliżej rozbiorę tę kwestję, nie mając żadnego zamiaru odmówić ci szanowny czytelniku głębokiej erudycji w innym kierunku, ale nie w tym właśnie, który przedmiotem ma być niniejszej naszej pogadanki.

Czyś widział kiedy kręgowca bez głowy, czy przypuszczasz, aby żadnych nie miał odnoży, któryby wreszcie stałego skieletu czyli kośćca nie posiadał? Wszak nie, nie i nie?! Już sama nazwa kręgowego zwierzęcia naprowadza na myśl, iż powstać tylko mogła od głównej jego cechy, wyróżniającej go od innych ustrojów zwierzęcych — od stosu kręgowego, a z nim połączonego zawsze mniej lub więcej rozwiniętego stałego kośćca. Zresztą kręgowiec bez głowy! A jakże żyć może, zapytasz, gdzie mózg się mieści w jego organiźmie, ten najważniejszy organ kręgowca, który równie wybitnie go wyróżnia od bezkręgowych zwierząt, — mózg co organem jest inteligencji, tego przymiotu, którego wysoki stopień rozwoju postawił kręgowce na najwyższym szczeblu klasyfikacji zoologicznej? Co do braku odnoży to zgodzisz się czytelniku, że kręgowce jak *wąż, minogi* (petromyzon) i *myxiny* (Myxinoida s. Hyperotrata) żadnych odnoży nie mają.

Otóż, jeżeli wszystkie po dziś dzień żyjące kręgowe rozklafisykujemy tak, jak nam się one na pierwszy rzut oka przedstawią, jeżeli przedstawimy sobie jasno najważniejsze grupy tych zwierząt, ich wzajemne względem siebie stosunki, to musimy się zgodzić z *E. Häcklem*, że dwie główne grupy są kręgowców: *Bezczaszkowych* (acrania) i *Czaszkowych* (craniota). I właśnie o pierwszej grupie sobie pozwolę parę słów powiedzieć.

Na pierwszy rzut oka, gdy o całej grupie bezczaszkowych chcę mówić, moglibyście się spodziewać, że tu musi nastąpić nudne i męczące wyliczanie wszystkich rzędów, rodzajów itp., rzecz, która i najzapaleńszego zoologa może zniechęcić do przeczytania dalszego ciągu. Lecz nie, ja poprzystanę na wymienieniu jednego tylko zwierzęcia, a nim jest *pomrównica*, czyli *lancetnik* (*amphioxus lanceolatus*) — zwierzęcia, które samo jedno ma szczęście przedstawiać całą grupę bezczaszkowych kręgowców.

Pomrównica stoi na najniższym stopniu ustrojowości ze wszystkich znanych nam kręgowców, a rzeczywiście jest dziś jedynym żyjącym przedstawicielem, być może dawniej bardzo licznej gromady bezczaszkowych, i śmiało rzec można, że obok *człowieka* najciekawszym jest organizmem ze wszystkich żyjących dzisiaj w przyrodzie. Zupełnie rozwiniętego lancetnika ciało nie dłuższem jest nad pół trzecia cala, biało albo czerwonawo zabarwione, a kształtu wąskiego, do lancetu podobnego listka, równie ostro i spiczasto zakończonego z przodu jak z tyłu. Pomrównica przebywa w wielkiej ilości w rozmaitych morzach jak np. w Północnem, Niemieckim, Śródziemnem a zazwyczaj znajdujemy ją w piasku zagrzebaną na miałkich brzegach tych mórz. Ciało tego zwierzątka pokryte jest przezroczystą skórą, przez którą przeświecają się wszystkie jego wewnętrzne narządy. Nie posiada ono nóg ani też głowy, nie ma czaszki i mózgu. Już w 1778 roku znany podówczas zoolog niemiecki *Pallas*, otrzymawszy to zwierzę z brzegów angielskich Północnego morza, szczegółowy o niem zostawił opis, lecz opis, który dziś w obec późniejszych badań *Costy, Yarrella, Jana i Wilhelma Müllerów, Kowalewskiego* i innych nie ma naukowej wartości. *Pallas* sądził, iż jest to blisko spokrewniony ślimak z naszemi zwyczajnemi nagiemi, lecz mniej od nich doskonały i nazwał je *Limax lanceolatus*. Pół wieku upłynęło a nikt się nie troszczył o tego ślimaka. Dopiero w 1834 r. *Costa* znalazłszy zwierzątko to w piasku Posilippo pod Neapolem żywe, poszukiwaniami swemi starał się przekonać, iż nie jest to ślimak, lecz ryba, którą nazwał *Branchiostoma lubricum* a jednocześnie prawie angielski badacz *Yarrell* spostrzegł w tym zwierzątku strunę grzbietową (*chorda dorsalis*) i dał mu imię, pod którem do dziś dnia je znamy. W r. 1839 sławny berliński zoolog *J. Müller* szczegółowo opisawszy anatomiczną budowę togo zwierzęcia, zaliczył je do ryb gromady, wyraźnie zastrzegając, że ten najniższy kręgowiec różni się więcej od najniższych ryb, (cyclostomi) niż te ostatnie od skrzeków (amphibia). Choć na pozór pomrównica tak z przedniego jak z tylnego końca jednakowo wygląda, to jednakowoż po bliższem rozpatrzeniu się spostrzeżemy różnicę, która polega na tem, iż na przednim swym końcu posiada ono otwór przeznaczony do przyjmowania pokarmów. W wewnętrznej budowie tego dziwnego zwierzęcia najważniejszą jest struna grzbietowa, którą wszystkie kręgowce różnią się od bezkręgowych. Struna grzbietowa jest to walcowaty czyli cylindryczny prosty pręt chrząstkowy, idący z przodu ku tyłowi a na obu końcach ostro zakończony, który stanowi oś środkową wewnętrznego kośćca będącego zaledwie zarysem stosu kręgowego.

Bezpośrednio po nad struną grzbietową na wierzchniej jej stronie leży *rdzeń kręgowy* (medulla spinalis), również prosty pierwiastkowo, z przodu i z tyłu ostro zakończony, wewnątrz zaś próżny pręt, będący główną częścią i środkiem układu nerwowego wszystkich kręgowców, u których przez rozszerzenie się przedniego jego końca rozwija się mózg, osłonięty mniej lub więcej stałą czaszką. U pomrównicy podczas całego jej żywota rdzeń kręgowy pozostaje w tym samym pierwotnym kształcie wewnątz próżnego walca, czyli rurki o grubych skórzanych ścianach. Wprawdzie przedni jego koniec jest nieco zaokrąglony i nabrzmiały, co można uważać za pierwszy zaczątek mózgu, odpowiadający górnemu węzełkowi (zwojowi) szyjowemu robaków, czaszki jednak i właściwego mózgu kręgowców tam nie ma.

Na przednim końcu tejże rury znajduje się malutka czarno zabarwiona plamka, którą anatom nazwał okiem pomrównicy, pomimo iż to nie zawiera żadnego ciałka, mogącego promienie świetlne załamywać i nie jest podobnem do oka, jakie wyżej uorganizowane kręgowce posiadają. W pobliżu tego oka, tej plamki czarnej po lewej stronie leży malutka migawkowym nabłonkiem wysłana jamka, którą przyjęto za organ powonienia lancetnika. Brak zupełny czaszki i organu słuchu, brak choćby szczątków odnóży i szczęki, stanowczo wyróżnia to zwierzę od innych kręgowych. Pod struną grzbietową przebiega bardzo pojedynczy przyrząd pokarmowy, składający się z rurki na dolnej stronie ciała zwierzęcia idącej — rurki, która w przednim swym końcu stanowi otwór — właściwą gębę, na tylnym końcu drugi — właściwy odbyt. Otwór gębowy jest owalny, uzbrojony obrączką chrząstkową, na której 30 długich wyrostków chrząstkowych w kształcie nici przedstawia organ dotyku. Cały przyrząd pokarmowy na dwie dzieli się części. Przednia, szeroka ze ścianami mnóstwu otworów podziurowianemi, to właściwy przyrząd oddychania, druga tylna połowa w je-

dnem miejscu rozszerzona — to żołądek pomrównicy. Małe ciałka, które zwierzę z wodą przy oddychaniu przyjmuje wewnątrz jak: wymoczki (infusoria), okrzemki (diatomea) i resztki rozkładających się ciał organicznych zwierzęcego lub roślinnego pochodzenia, służą mu za pożywienie. W połączeniu z żołądkiem a raczej z jelitem widoczną jest torebkowata wątroba.

Układ naczyń krwionośnych niemniej jest prosty, jak cała budowa tego mało znanego szerszej publiczności kręgowca. Serca, które by jak u innych do tej samej gromady należących ustrojów działało, tj. jako środkowy, centralny organ, działając jak pompa ssąco-tłocząca, porusza i w biegu utrzymuje krew takiego serca tutaj wcale nie ma; każde naczyńko gra tu rolę pulsującego serca, podobnie jak u *pierścienic* (annulata), u których cienkie krwionośne naczyńka te funkcje spełniają. Krew lametnika jest bezbarwną i potrzebuje jednej minuty czasu, aby z jednego końca ciała zwierzęcia dostać się na drugi i z powrotem. Otóż mamy w krótkości odmalowany obraz kręgowca, który stosu kręgowego nie posiada, mózgu i czaszki nie ma, a jednak do kręgowych musi być zaliczonym, posiada bowiem strunę grzbietową, która zaczątkiem jest czaszki w dalszym rozwoju osobnikowym zwierząt kręgowych i rdzeń kręgowy, z którego w skutek późniejszego różniczkowania, zasadzającego się na rozszerzaniu przedniego jego końca, powstaje mózg, siedlisko inteligencji zwierzęcia. Tak się dzieje w osobnikowym rozwoju kręgowych zwierząt, tak się dziać musiało i w powolnym rozwoju rodowym tych zwierząt.

Poznanie więc budowy pomrównicy nie tylko jest nader ważnem z przyczyny, iż ją dopiero znając, można mieć dokładne wyobrażenie o cechach, jakie kręgowca odróżniają od bezkręgowych zwierząt, lecz nadto dla tego, że nam unaocznia kręgowca, którego budowę możemy uważać za typ pierwotny, z którego cała gromada kręgowych się rozwinęła — jest więc do dziejów naturalnego rozwoju nadzwyczaj cennym nabytkiem. Müller zbadaniem budowy anatomicznej, Kowalewski osobnikowego rozwoju tego zwierzęcia odrazu zdarli zasłonę, jaka przedtem pod względem powolnego rozwoju kręgowych zwierząt zasłaniała wzrok uczonych. Dziś śmiało przypuszczać można (choć tylko przypuszczać), że wszystkie czaszkowe, czyli torebkosercowe (pachycardia) kręgowce rozwinęły się powolnie w ostatnich perjodach pierwotnego okresu bezczaszkowych czyli rurkosercowych (leptocardia) blisko pokrewnych z dziś żyjącą pomrównicą, a dzieje osobnikowego rozwoju domniemywanie to nasze potwierdzają. Zachodzi jednak pytanie, zkąd wzięły się bezczaszkowe? I na to pytanie przypuszczalnie możemy odpowiedzieć. W 1867 r. *Kowalewski* ogłosił swoje poszukiwania nad osobnikowym rozwojem pomrównicy i stale przytwierdzonych do dna morskiego (nieruchomych, stale osiadłych) *żachw* (ascidiae), które zoologja do gromady *oponnic* (tunicata) zalicza. Od tego czasu datuje się ogromny postęp w możebności rozwiązania tego pytania. Studja K. wykazały, że dzieje osobnikowego rozwoju tych dwóch tak różnych kształtów zwierzęcych w pierwszych ich momentach nadzwyczaj są zgodne — wykazały, że swobodnie pływające poczwarki żachw rozwijają widocznie zarysy struny grzbietowej i rdzenia kręgowego — tych organów, które posiadają li kręgowe zwierzęta, a rozwijają się w taki sam sposób jak pomrównica. Później żachwy nie wykształcają dalej tych dwóch narządów kręgowego ciała, lecz przeciwnie znikają takowe u nich, czyli odbywa się z niemi tak zwany proces uwstecznienia, gdy zwierzę osiada stale na dnie morskiem i przeradza się w bezkształtną bryłkę, z pozoru nawet niepodobną do zwierzęcego ciała. Z tych to badań, czyli zaledwie od kilku lat możemy wnioskować o rzeczywistem rodowem pokrewieństwie oponnic a przynajmniej żachw z kręgowcami.

Tu jednak nie chcielibyśmy, aby nas zrozumiano, iż mówiąc to chcemy twierdzić, że kręgowce pochodzą od oponnic, lecz że jest prawdopodobieństwo wielkie, iż obie te grupy powstały ze wspólnego pnia, i że podług dziś znanych zdobyczy w ontogenji bezkręgowych, żachwy z tej gromady zwierząt najbliżej są spokrewnione z kręgowemi.

Z tego zaś konsekwentny wniosek możemy wyciągnąć, że prawdopodobnie podczas pierwotnego okresu w późniejszych jego perjodach z pewnej jednej jakiejś grupy robaków, do której dotąd jeszcze oponnice się liczą, rozwinęły się powoli naprzód bezczaszkowe kręgowce, z nich zaś gromada kręgowców, która niżej pod względem budowy od ryb stoi, jednak już czaszkę posiada, a te są znane pod nazwą *myksin i minogów* (myxinoida et petromyzontia), czyli gromada okrągłoustych lub kręgoustnych (cyclostoma). Z tej samej zaś grupy robaków, z której w jednym kierunku rozwinęły się kręgowe, w drugim być może tj. we wstecznym wyrodziły się oponnice.

Owóż widzimy, iż można znać ssaki, ptaki, skrzeki, płazy i ryby, a jednak o cechah kręgowego zwierzęcia, które tylko jemu są właściwe jeszcze nie zupełne mieć wyobrażenie. Powszechnie uważany jest kręgosłup i mózg w czaszce zamknięty za dostateczną cechę kręgowych zwierząt, my od czasu jednak, odkąd poświadomieni jesteśmy, że pomrównica ani kręgosłupa, ani mózgu i czaszki nie posiada, w ontogenezie jednak swojej początkowo nie różni się od żadnego z kręgowców, tylko strunę grzbietową i rdzeń pacierzowy uważać możemy za jedyną cechę tych zwierząt, resztę zaś tylko za następstwa późniejszego różnicowania w skutek naturalnego doboru i przystosowywania się tych pierwotnych kręgowców do otaczającego je medium!!

Przygody w Indjach

podróżnika

TOMASZA ANQUETIL.

(Ciąg dalszy.)

IX.

(Ryby ofiarne. — Staw rybny na górze. — Król wód. — Branie ryb. — Pożeracz dzieci.)

Gnyungdun jest portem, do którego z konieczności muszą zawijać wszystkie łodzie, statki i galary, płynące tak w górę jak na dół rzeką Irawady. Tu zaopatrują się one w żywność na dalszą podróż, tu wioślarze witają i żegnają swoje rodziny. I ja również utknąłem u tej przystani, gdym na czele mojej floty płynął z Bangun do Mandelay; zaledwie łodzie stanęły w porządku u brzegu, marynarze co prędzej podążyli do wsi witać krewnych i znajomych. Nie wiedząc jak z nudów czas zabić, zacząłem się wypytywać czy nie ma w okolicy jakiej pagody, pomniku, ruiny lub czegokolwiek ciekawego do zwidzenia. Jeden z marynarzy ukazał mi górę o cztery kilometry od brzegu, gdzie miał być staw, którego wody miały odpływ i przypływ morza tylko w odmiennych godzinach, i gdzie chodowano różne rodzaje ryb, zakupywane przez bogatych ludzi do składania z nich ofiar bóstwom, przed każdą przedsięwziąć się mającą podróżą.

Fenomen podnoszenia i zniżania powierzchni wody w niezwykłych godzinach, dawał się łatwo tłumaczyć; jezioro było zasilane źródłami zostającemi w komunikacji z rzekami Irawady, Akhay-Khyang i Myenmakah, łączącemi się z rzeką Bangun, i z powodu krętego swego biegu nie mogły wszystkie trzy o jednym czasie uczuwać ruchu przypływającego morza. Praktyka zabobonna, mająca przynosić szczęście nie była mi również obcą; wiedziałem o tym zwyczaju ludów Birmanji przesiąkłych mistycyzmem, gdzie najkrótsza nawet podróż odbyć się nie może, żeby Gautamie nie złożyć ofiary z ryb poświęconych.

Przed odbiciem od brzegu, na statek lub łódź wnoszą prawdziwie akwarjum pełne ryb, i tam dopiero jedna sztuka po drugiej odbiera strój godny swego posłannictwa. Kolejno wyjmowane rybki, zostają ostrożnie obcierane płótnem i oblepiane listkami ze srebra i złota, które dzięki wydzielającej się z pod łusek lepkowatości doskonale przystają. Tak przybrane idą z pobożnem wezwaniem po Gautamy spełniać swoją ofiarę. I kto wie, czy nie jest to rzeczywistą dla nich ofiarą, czy nie przychodzi im żałować dawnej niewoli?

Jeżeli przypadkiem kto zagra na pokładzie, wynurzają się masami niby lśniące hufce złotem i srebrem opancerzone; nikt nie śmie ich niepokoić, każdy prawdziwy budysta miał by sobie za grzech zjeść taką poświęconą rybę, przeciwnie rzucają im okruchy chleba, ryżu, a jeżeli przypadkiem z innemi rybami do sieci się dostaną, powtórnie je złocą, srebrzą i powracają im wolność.

O tych szczegółach wiedziałem dobrze, i nie to mnie zaciekawiło; przedewszystkiem chciałem zobaczyć jak urządzoną była sadzawka o której mi mówił marynarz. Zapytałem go czy może mnie zaprowadzić na miejsce, a gdy się na to zgodził, zawołałem Józefa, kazałem sobie podać broń z nabojami i udaliśmy się w drogę.

Gościniec wycięty i ugładzony dla wozów, prowadził brzegiem rzeki i po kwadransie zaczął się wspinać dość łagodną pochyłością po pierwszych skarpach góry. Inna ścieżka wijąca się prawie prostopadle odbiegała od połowy drogi skracając znacznie przestrzeń. Na nią skierowałem kroki. Całe wzgórze było okryte najpiękniejszą roślinnością, która swoją świeżość i zieleń winna była źródłom zawartym w łonie góry. Na ściętym szczycie rozpościerała się płaszczyzna długa 400 metrów a 300 szeroka, przerwana sadzawką mającą 60 kroków średnicy, i okoloną drzewami, które cieniem palm i bananów osłaniały jej wody. Tajemnicza cisza i spokój pięknego ustronia zachwyciły mnie; jedno tylko ludzkie mieszkanie rysowało się na wpół przysłonięte zielonością, zresztą nie było nikogo ani widać ani słychać. W około stawu biegła poręcz z bambusu lekka i wiotka, zostająca w sprzeczności z brzegiem dość wysokim i wyżłobionym niby koncha, co kazało się domyślać znacznej głębokości. Rośliny wodne, bujne liście i szorst-

kie łodygi opierały się o poręcz jakby jej chciały siły użyczyć.

Kiedym się rozglądał po miejscowości, przewodnik podszedł do mieszkania i zapukał. Dwie kobiety, jedna wiekowa, druga młoda, pojawiły się natychmiast trzymając za ręce czteroletniego chłopca; ten zaledwie nas zobaczył zaczął krzyczeć i uciekać goniony przez babkę. Młoda kobieta rozmówiwszy się z marynarzem, pozwoliła nam zwidzieć całe urządzenie, a w tym czasie schwytany chłopczyna został dostawiony przez babkę, która opierającego się przyciągnęła za rękę; kilka sztuk drobnej monety dane przezemnie odrazu uspokoiły jego trwogę.

Woda była właśnie w stanie najniższego poziomu, to jest jeden metr poniżej wysokości do jakiej zwykle dochodzi, wyłączając naturalnie czas wylewu, w którym sięga znacznie wyżej jak tego ślady dostrzedz można było na trawie. Powierzchnia zupełnie spokojna, nie odznaczała się przejrzystością, chociaż nie była mętna, a w samym środku ciągłe kołowanie mówiło o bijących źródłach. W jednym końcu grobli była szluza w komunikacji z upustem na 10 do 12 metrów kubicznych objętości, wyłożonym deskami i opatrzonym sitem, od którego żelazna krata ze ścianą ruchomą odprowadzała w pobliski wąwóz wodę konduktem z drzewa bambusowego. Cały ten przyrząd wydał mi się pojedynczy, dobrze obmyślany i wykonany w sposób dający oczekiwany rezultat, to jest obfity połów ryb. Najwięcej zostałem zachwycony znajomością rzeczy z jaką urządzony był sam staw. Aby woda nie była mętna i bagnista niezbędną jest pewna głębokość; tu źródła bijąc blisko 100 metrów niżej powierzchni robiły ją czystą, zdrową, pozbawioną części iłowatych i zgnilizny. Cień drzew osłaniał brzegi opasane zielonością, chronił od spiekoty i przyczyniał się orzeźwiającym chłodem do reprodukcji i konserwacji ryb. Szczątki roślinne i pozostałości zwierzęce, które zawsze przy gorącu sprawiają na powierzchni fermentację, odciekały przy obniżeniu szluzy z częścią wygrzaną wody i najmniej zdrową. Wreszcie rośliny rozścielające się po brzegach, chroniły od skwaru, a listki, kwiaty, pączki, ziarnka i owoce, spadające w wodę dawały wyborne pożywienie rybom.

Zwidziwszy urządzenie stawu, chciałem powrócić, gdy głos dzwonków zwrócił moją uwagę na drogę prowadzącą od brzegu rzeki. W Birmanji jest zwyczaj przyczepiania dzwonków słoniom niosącym znaczniejsze osobistości, dla przestrzegania ludzi i uwiadamiania ich aby się ustępowali. I tym razem była to niezwykła figura; na gościńcu ujrzałem słonia wierzchowego a obok sześciu idących pieszo ludzi i kilka wozów ciągniętych bawołami. W nadziei że to będzie coś dla mnie ciekawego, poszedłem ostrzedz kobiety o nadjeżdżającej wizycie. Wiadomość sprawiła ogromny zamęt.

— Hamueh! — zawołała młodsza — mego męża nie ma, by przyjąć króla wód.

To zaostrzyło moją ciekawość.

— Może ludzie moi będą mogli być pomocni — rzekłem; jeden z nich jest marynarzem i zna się niezawodnie na wodzie i jej królach.

— I owszem przyjmuję pańską propozycję — odpowiedziała biegnąc na przeciw zbliżającej się karawany.

Człowiek miłej powierzchowności, elegancki w ruchach, rysów delikatnych i nacechowanych inteligencją, zstąpił ze swojego *tendah*, a zaledwie stanął na ziemi, obie kobiety rozpoczęły kolej całowań po rękach, upadań do nóg i przepraszań że gospodarza nie ma w domu by przyjąć jego ekscelencję. Nasz król był wspaniałomyślnym księciem; przeprosiwszy że nie dał znać o swojem przybyciu, kazał przynieść i otworzyć pudło, w którem były materje, perły, rzadkie muszle, i ofiarował je kobietom; malca zaś obdarzył paczką zabawek.

W czasie tych przedwstępnych powitań, słonia i wozy odprowadzono w dziedziniec, zdjęto *tendah*, bawoły wyprzężono i każdy zabrał się do dzieła, aby jak można najlepiej zastąpić gospodarza, który wybrawszy się z częścią ryb do miejscowości znacznie oddalonej, miał dopiero późno wieczór powrócić. Korzystając z ogólnego zajęcia zapoznajmy się tymczasem z przybyłą osobistością, czerpiąc objaśnień ze szczegółów udzielonych mi przez mego przewodnika.

Król wód był nie małą figurą, a w r. 1853 kiedy Anglicy opanowali Pegu, piastował już urząd Shabundera, czyli administratora rybołowstwa i polowań wodnych wzdłuż wybrzeży niższego Pegu, począwszy od rzeki Rangun do zatoki Martabanu, i od południowo-wschodniego cypla Bengalu do przecięcia Arakanu rzeką Kheinthulye około 17° 36′ stopnia długości północnej. Pozostawiwszy sobie ogólny zarząd połowu rzecznego we wszystkich obwodach, wypuszczał resztę poddzierżawcom, z zastrzeżeniem sobie wyłącznego prawa do polowań na niektóre rzadkie ptaki, połowu pereł, korali i drogich muszli. Ojciec jego piastował przed nim ten urząd, on go po nim odebrał i chciał syna w następstwie pozostawić w swoich prawach. Majątek jego miał być bajeczny!... W postępowaniu z ludźmi umiał wszystkich sobie ująć, uprzejmy z podwładnymi urzędnikami, których wpływ administracyjny był dalekim od zaważenia na szali jego potęgi handlowej i finansowej, umiał w stosunkach swoich z gubernatorem prowincji i z wyższemi osobistościami, stać się maluczkim, aby wszelkiemi sposobami utrzymać się na stanowisku tak intratnem, które go stawiało niejako na równi naboba.

W chwili gdy Anglicy objęli posiadanie kraju, większa część mieszkańców tej Delty Azjatyckiej, wyemigrowała w głąb kraju. Shabunder nie mając ochoty zostać kozłem ofiarnym, nie ruszył się z miejsca, przycichł i zaprzestał prac w swej administracji. Angielski zarząd skarbowy znany ze swego dowcipu, nie lubiąc długo pozostawiać dochodów w bezczynności, rozpoczął pierwsze kroki, obniżył mu podatek i zachęcił do dalszego prowadzenia przemysłu. Shabunder przystał, i za jego protekcją wiele nawet rodzin które wyemigrowały powróciło do kraju. W parę lat później podatek został podwyższony, król wód broń Boże nie podniósł żadnej w tej mierze reklamacji, co więcej, chcąc dla syna swego, czternastoletniego młodziana, zaskarbić względy władz angielskich, zdecydował się nakoniec po długim namyśle wysłać go do kolegjum rządowego w Kalkucie, gdzie europejską miał odebrać edukację. W tych warunkach znajdujemy go właśnie w r. 1859, do którego odnosi się nasze spotkanie.

— Moja kochana — odezwał się Shabunder słodziutkim głosem do żony gospodarza — wiesz jak jestem oddany sprawie birmańskiej, a znane moje uczucia patrjotyczne nie podpadają żadnej wątpliwości. Z tem wszystkim, Anglicy prawem kaduka opanowali nasz kraj; chcąc nie chcąc trzeba ich znosić, i z niemi żyć w zgodzie jeżeli nie chcemy umrzeć z głodu lub zginąć od miecza. Trudna rada, inaczej być nie może. Godząc się na prowadzenie dalszej administracji polowań i rybołóstwa, uczyniłem to jedynie w myśli utrzymania porządku, i ze względów ludzkości. Im więcej dobrobyt wzmoże się u nas, tem prędzej będziemy mogli dojść do naszego pierwotnie kwitnącego stanu, i tem łatwiej podźwigniemy nasz kraj. Syna mam tylko jednego, chociaż córek mi nie brak, otóż żona moja nalega nieustannie bym go kazał edukować po europejsku, utrzymując i dość słusznie, że im więcej będzie umiał, tem niebezpieczniejszym stanie się dla naszych nieprzyjaciół.

Pomimo że rozstanie takie jest dla mnie nader bolesne, musiałem wreszcie ugiąć się przed koniecznością — jednem słowem syn mój uda się wkrótce do Kalkuty i w dniu w którym z Rangun odpłynie na statku pocztowym, chciałbym by wszystkie znaczniejsze obwody rybołostwa, obchodziły wielkie święto w celu uproszenia Gautamy łask dla mego syna. Potrzeba mi zatem nie małej prowizji ryb, a więc do dzieła i to bez zwłoki, ponieważ nie mam ani chwili do stracenia.

— Panie, wszystko co posiadamy jest na twoje usługi. Mój mąż będzie zrozpaczony, że nie był tutaj by ci posłużyć i przyjąć ciebie.

— W jego niobecności róbcie jak możecie najlepiej.

— Bądź pan pewny, że ani minuty nie stracę.

Shabunder przez cały ten czas nie zdawał się zwracać na mnie swojej uwagi. Jako zręczny polityk umiał zamaskować się nieświadomością, chociaż uwiadomiony bez zaprzeczenia o naszej flocie, wiedział dobrze kim jestem; ale że nasza wyprawa do Mandelay niemało Anglikom sprawiała obawy, więc z jego roli wypływało ostrożne a neutralne zachowanie.

Młoda gospodyni opuściwszy Shabundera zajęła się przygotowaniami i wszedłszy na dziedziniec, gdzie były dwie duże kadzie wkopane w ziemię, otworzyła rezerwoar i w jednej chwili zostały obie napełnione wodą zasilaną ze stawu. Za ten czas wypakowano z każdego wozu po cztery skrzynie drewniane, szczelnie dopasowane i zamykane wiekiem dziurkowanem, wymyto je i wypłukano w kadziach i rozstawiono do obsuszenia. Z przyległych zaś budynków wyniesiono duże kosze, plecione z lian cienkich i giętkich, które były wysokie mniej więcej szerokości upustu stosownie do głębokości kanału i zaniesiono je do stawu. Niebawem obie kobiety wyszły z mieszkania trzymając w ręku rzeszota napełnione białym gorzkim proszkiem, zmięszanym z ziarnkami prążkowatemi, które z zapachu i smaku były bardzo do kminku podobne. Przeszedłszy barjerę bambusową, zeszły po nad samą wodę, i rozchodząc się w przeciwne strony okoliły staw nucąc jakąś rytmiczną zwrotkę. Natychmiast prawie woda pokryła się rybami; kobiety powtórzyły swój spacer ale tym razem potrząsając rzeszotami; w niespełna pięć minut ryby pogrążone były w śnie letargicznym. Otworzono śluzę, woda porywając je z sobą rzuciła się kanałem i wpadała w upust, gdzie już poprzednio kosz zapuszczono; druga śluza została z kolei podniesiona i woda zaczęła odchodzić kanałem z bambusu pozostawiwszy ryby przyniesione w koszu. Parę razy powtórzono tę czynność coraz świeże poddając kosze, z których gdy były pełne, odrzucano w duże cebry ryby niewchodzące w poczet

błogosławionych ofiarnic. Gdy już dostateczną ilość nałapano, przeniesiono się z całym przyrządem na dziedziniec i tam wzięto się do opakowania towaru na wozy. Przy stawie nie pozostał nikt, mały tylko chłopiec uganiał się ze swoim wolantem.

Wozy, jakem mówił, miały po cztery skrzynie, i tu nastąpiło dopiero drugie skrupulatniejsze rozgatunkowanie. Ryby czerwone szły do skrzyń jednego wozu, ryby złote do drugiego, ryby srebrne do trzeciego. Robota postępowała dosyć wolno, słońce zaczęło się chylić ku zachodowi, ja zaś widząc że mają jeszcze dobre pół godziny zabawy, przywołałem moich ludzi i pożegnawszy się z gospodynią, chciałem odejść. Shabunder udał, że nie widzi mego oddalenia i patrzył zawzięcie na napełniające się skrzynie.

(C. d. n.)

Tak być musiało.

Powieść.

Napisał

JÓZEF ROGOSZ.

(Dokończenie).

CZĘŚĆ DRUGA.

X.

Pan Krzysztof był uszczęśliwiony. Zobaczywszy wózek pana Krzemińskiego, wybiegł na ganek z głową odkrytą, i bez surduta, którego przez oszczędność w domu prawie nigdy nie używał, i omało na rękach nie wniósł gościa do pokoju. Radość jego była tak wielką, że nie dostrzegł ani pomięszania w całej postaci, ani gorączkowych rumieńców na twarzy, ani niepokoju w przymglonych oczach młodego człowieka. W przekonaniu, że nic innego nie zwabiło do Dąbrówki kochanego sąsiada tylko jego stary tokaj, pan Krzysztof był już gotów posłać do piwnicy po kilka butelek; atoli Edmund domyślawszy się zamiarów gospodarza, powstrzymał go w gościnnych zapędach, czem mu prawdziwą sprawił przyjemność. Krzysztof był gościnnym, „bo już taka była jego natura“ — pan Krzysztof lubił spoić sąsiadów, bo „my szlachta“ lubimy pić, — ale pan Krzysztof byłby zawsze ofiarował chętnie „pięć reńskich,“ żeby to picie odbywało się kosztem cudzej kieszeni i piwnicy. Bo już taka była jego natura!

Jakby przeczuciem wiedziony, wkrótce zjawił się także pan Damazy z dwiema taljami kart w kieszeni, i niby od niechcenia zachęcał Edmunda do djabełka, upewniając go, że dziś całkiem się „odbije.“

Młody człowiek był jednak na wszystko nieczułym. Od pamiętnego jarmarku i owej nocy bezsennie strawionej, Edmund był ciągle niezdrów. Lekarz byłby mu może powiedział, że wracając wtedy do domu musiał się przeziębić, albowiem jak na porę jesienną był nadto lekko ubranym, i nad wodą stał na przeciągu całą godzinę; on jednak przypisywał swoją niedyspozycją powodom li moralnym. Tylu i tak gwałtownych wrażeń doznał w czasie stosunkowo tak krótkim, że pod ich naciskiem zdrowie musiało ucierpieć.

Gdy przez okno, przy którem siedział, zobaczył Grzesia pędzącego, wyszedł natychmiast na dziedziniec.

— I cóż? — zapytał.

— Pani hrabina powiedziała „że dobrze.“

— Widziałeś ją?

— Widziałem, proszę jaśnie pana.

Edmunda nieprzyjemnie dotknęło, że na list dała mu ustną nie pisemną odpowiedź.

— Wkrótce pojedziemy, — rzekł po chwili.— Jak tylko się zmierzchnie, wyjedziesz sam na przód, i za wsią na mnie poczekasz.

— Dobrze proszę jaśnie pana.

Grzesia mocno to zadziwiło. Czuł że się dzieje coś niezwykłego, że na coś się zanosi, ale na co? W godzinę, Edmund wymówiwszy się bolem głowy, wyruszył od pana Krzysztofa. Na drodze krzyżowej zastał Grzesia, który stał jak ułan na wedecie. Zatrzymawszy się przed nim, kazał chłopcu zsiąść z konia, i zająć jego miejsce na wózku. Potem zrzucił płaszcz i sam dosiadł wierzchowca.

— Jedźcie do domu! — zawołał.

Stangret przyjęty dopiero przed tygodniem, przyjął rozkaz obojętnie, ale Grześ ośmielił się zapytać.

— A co powiedzieć jaśnie pani?

— Co powiedzieć?... Powiedz żem pojechał do Jurkowiec po interesie i zaraz wrócę.

— A może by jaśnie pan wziął co na siebie, bo teraz zimno.

— Jedź swoją drogą! — krzyknął Edmund, uderzył konia szpicrózgą i galopem ruszył z miejsca.

Grześ głową pokręcił i odjechał w bardzo złym humorze.

Jakiś czas pędził Edmund jak szalony, aż gorący pot na czoło mu wystąpił; potem koń sam, nienależący do pierwszorzędnych wierzchowców, zwolnił biegu, i zaczął iść krok za krokiem.

Chłód nocy jesiennej i cisza grobowa przerywana niekiedy wyciem psów we wsi, lub przeraźliwym jękiem puszczyka, zaczęły mu powoli myśli rozjaśniać. Dopiero teraz, gdy już prawie uczynił krok stanowczy, rozważał czy nie popełnił wielkiej niedorzeczności, żądając schadzki od kobiety, o której nie wiedział czy mu była wzajemną — dopiero teraz zapytał zimny rozum, a jeżeli jest ci wzajemną, dokąd to powiedzie? I przypomniał sobie Tonię, i wyobraził sobie jej łzy, jej boleść, gdy się dowie o jego zdradzie, i przypomniał sobie dziecię, które tak kochał! Osadził konia, chcąc nawrócić... Ale niestety znajdował się właśnie w miejscu, z kąd mimo panującej ciemności, dostrzegł światła na pagórku. To jaśniały dolne okna w pałacu Hrabiego.

Tam w ogrodzie ona czekała... Ona! mógłże cofnąć się teraz?

Po co właściwie jechał, co jej miał powiedzieć? On się teraz nad tem nie zastanawiał. Party jakąś siłą demoniczną, pędził jak ćma do światła, nie myśląc czy ono go spali.

Mimo to im bliżej był ogrodu, do którego zmierzał na wskos przez pola, tem częściej konia wstrzymywał, jakby z obawy, by nie wpadł w jaki przekop, i pokilkakroć chciał nawrócić. Nawet zimny dreszcz przebiegł mu po ciele — a głowa ogniem zapłonęła. Lecz kość ostatnia była już rzucona, bo oto ujrzał szkołę, tę samą, w której widział ją nauczającą, — a w białym murze ciemną furtę.

Zsiadł z konia, przypiął go do najbliższego drzewa, krokiem chwiejnym zbliżył się do furty, i wszedł do ogrodu prawie bezprzytomny.

Ale do przytomności przywołał go srebrny głos kobiecy, który zabrzmiał tuż przy nim:

— Witaj mi panie Edmundzie! Tak długo już czekam, że doprawdy zaczynałam się obawiać czy nie miałeś jakiego wypadku.

Jak niegdyś on, tak teraz ona pospieszyła na jego spotkanie. Zeszli się nawet w tem samem miejscu, tylko wtedy było południe — teraz noc. Na szczęście księżyc, który coraz później wschodził, wychylił się w sam czas z poza lasów, bo inaczej Edmund nie byłby nawet dojrzał pięknych rysów hrabiny.

— Przepraszam panią — odpowiedział, i chciał jeszcze coś dodać, ale zaciął się i umilkł.

— To drobnostka w porównaniu z przestrachem jakim mnie przejął list pański. Doprawdy nie pojmuję co się stać mogło... Ale — dodała ton mowy zmieniając — czemu my tu tak stoimy? Chodźmy do domu, służę panu.

Ostatnie słowa otrzeźwiły Edmunda.

— Nie pani, nie! — zawołał — zostańmy tu... błagam cię, zaklinam!

— Niech i tak będzie, ale w każdym razie przynajmniej usiądźmy, na tej oto ławeczce, którą poczciwy mój wuj kazał tu umieścić, jakby umyślnie dla nas.

Usiadła, — on obok niej. Blade światło księżyca padało na jej śliczny profil.

— Pani! — przemówił Edmund w oczy jej nie patrząc — przyszedłem po wyrok życia lub śmierci!

— Panie Edmundzie, coś powiedział? Jak mamę kocham byłoby to bardzo tragiczne, gdyby nie było...

— Nie szydź pani? — przerwał młody człowiek, chwytając ją gwałtownie za rękę, i wlepiając w nią wzrok rozogniony. — Nie szydź pani, bo jeszcze nie wiesz co powiem!

Ten śmiech i to spojrzenie, przekonały hrabinę, że nie zawsze można leczyć żartami. To też rzekła łagodnie, prawie tkliwie.

— Ja nie szydzę panie Edmundzie, nie... i chętnie cię wysłucham. Mów, mów panie Edmundzie i nie trwoż mię dłużej.

— Pani! — odpowiedział trzymając ją ciągle za rękę, której ona nie cofnęła — ja nie wiem co się ze mną stało, jam człowiek zgubiony.. W domu mi straszno, w świecie pusto... nigdzie spoczynku, wszędzie niepokój... może to szaleństwo, może nawet zbrodnia, ja nie wiem, ale odkąd bliżej cię poznałem, odkąd zrozumiałem skarby twojej duszy, ja bez ciebie jestem niczem, błędną gwiazdą rzuconą w próżnię, duchem wykolejonym... Powstrzymywałem się do tej chwili, pasowałem się z sobą, walczyłem, lecz widzę że nie zwyciężę. Bez ciebie nie ma dla mnie nawet nadziei szczęścia, tyś dla mnie początkiem, końcem bo ja ciebie kocham! kocham!

Mówił szybko, namiętnie, gorąco, i białą jej rękę do swojej piersi przyciskał. Hermina słuchała go z sercem bijącem, i usty drżącemi. Przyszła, aby go szybko wyleczyć, jeśli można żartem lub ironją, tą najstraszliwszą bronią w ustach kobiety, a słysząc jego słowa sama się wzruszyła. Aż do tej chwili nikt jeszcze do niej tak nie przemawiał.

— Panie Edmundzie — rzekła głosem drżącym, — tobie się tak zdaje... to wyobraźnia mówi twemi usty.

— Nie Hermino, nie! Ja cię kocham, kocham do szaleństwa!

On wpatrywał się w nią okiem roziskrzonem, namiętnem, — ona milczała, milczała długo, zbierając całą siłę ducha, a gdy znowu mówić zaczęła, jej głos był nierównie spokojniejszym, nawet brzmiał stanowczo.

— Panie Edmundzie, to, co tu słyszałam, może być prawdą, lecz czy zastanowiłeś się nad tem dokąd to ciebie powiedzie? Czy pomyślałeś, że kobieta jak ja nie może być przedmiotem miłostki przelotnej, że kochając mię, musiałbyś zerwać z całym światem?

— Zerwę! zerwę! tylko ty powiedz że mnie kochasz!

— Zerwiesz? Czy zastanowiłeś się pan nad tem coś powiedział?

— Żądaj dowodów pani, rozkazuj!

— Więc porzucisz żonę i dziecię?

Takim to wymówiła głosem, że Edmund puścił jej rękę.

— Wahasz się panie Edmundzie — mówiła dalej spokojnie,—i tem wahaniem cały się zdradziłeś. Rozumiem cię i usprawiedliwiam... Jesteś młody i niezepsuty, masz duszę pragnącą wrażeń. Ożeniłeś się wcześnie, i wziąłeś anioła, który słodyczą charakteru, dobrocią zdolną do każdego poświęcenia, zepsuł cię panie Edmundzie. Zapragnąłeś nowych wrażeń, odmiany... Zjawiłam się niestety ja, i tyś w obłęd popadł... jam ci się wydała inną, doskonalszą... Zdaje ci się, żeś mnie pokochał, ale to nie miłość panie Edmundzie. Znałeś mnie przecie dawniej, przed twoim ślubem, czemuż mi wtedy tego nie mówiłeś? Czemu milczałeś całe dwa lata potem, a czemu szalejesz dopiero dziś? Bo nudząc się, szukasz odmiany... Szczęście twoje panie Edmundzie, żeś znalazł mnie... Inna byłaby cię może doprawdy nad brzeg przepaści zaprowadziła, a może i zgubiła! Ja pragnę cię ocalić.

— Kobieto! — krzyknął Edmund prawie od przytomności odchodząc — kobieto, tyś mnie zgubiła!

— Ja? Chyba to przeciw mnie świadczy, że byłam dla was z przyjaźnią i... i może żem się chciała podobać. Ale panie Edmundzie, to leży w naturze kobiety — każda z nas musi być taką... Gdy brzydka, nikt na to nie zważa — gdy do ludzi podobna, świat nazywa ją zalotną. Jeżeli więc tem zgrzeszyłam, przebacz mi panie Edmundzie!

Powstała; on machinalnie także się podniósł. Głowa o mało mu nie pękła, nogi pod nim drżały, w oczach mu pociemniało.

— Żegnam cię panie Edmundzie! — mówiła dalej rękę mu podając. — Wróć do swoich aniołów i bądź szczęśliwym. Ja zaś dochowam wam przyjaźni. Bądź zdrów panie Edmundzie!

Ujął ją za rękę i do ust przycisnął — ona przyłożyła chusteczkę do oczu.

Gdy zniknęła w głębi alei — on wyszedł przez furtę innym człowiekiem.

Z namiętności uleczyła go uczciwość.

Sam nie wiedział kiedy do domu wrócił. Przed gankiem padł koń nieżywy. Z łoskotem otworzył drzwi, a gdy postrzegł Tonię spieszącą na jego spotkanie, rzucił jej się do nóg wołając:

— Aniele! uciekaj od zbrodniarza!

— Co mówisz Edmundzie? — krzyknęła Tonia, przestraszona nie tyle słowami co bladością jego twarzy.

— Jam zbrodniarz! Jam nikczemny! Jam ciebie chciał zdradzić!

— Mundziu, mój mężu kochany! — odpowiedziała z anielskim uśmiechem, obejmując go za szyję — ja ci przebaczam, przebaczam z całego serca.

— Ja nie chcę twego przebaczenia, nie! Na litość boską gniewaj się na mnie, choć raz się rozgniewaj, bo mnie zabijasz tą dobrocią!

— Uspokój się Mundziu... ty masz gorączkę... tyś bezprzytomny. Za cóż mam się gniewać, kiedy do winy się przyznajesz?

— Mój Boże, co ta kobieta ze mną robi!— krzyknął chwytając się za głowę — wszystko widzi, nic nie mówi, nawet się nie gniewa! Ona mnie chyba nie kocha!...

— Mundziu! — odrzekła Tonia poważnie— ja cię kocham, bardzo kocham i przebaczam z miłości. Ale przebaczyć można tylko raz.., Gdyby to się jeszcze raz powtórzyło Mundziu, jabym...

— O tak, tak mój aniele! — zawołał mąż przyciskając ją do piersi.

Ale ten uścisk wyczerpał jego siły. Jak pijany zachwiał się na nogach i padł na fotel.

XI.

W trzy tygodnie po opowiedzianych zdarzeniach, w wygodnem krześle poręczowem spoczywał Edmund; obok siedziała Tonia z dzieckiem na kolanach.

W pokoju było ciepło i przyjemnie; o okna uderzał wiatr jesienny. Edmund wyglądał jak człowiek, który podniósł się z ciężkiej choroby; na twarzy Toni widać było ślady łez i nocy na czuwaniu strawionych.

Po ostatniej wycieczce do Warnowiec, i rozmowie z Herminą, Edmund dostał zapalenia mózgu i dopiero dziś pierwszy raz wstał z łóżka. Za to wstał jak człowiek nowy, odrodzony, który spokojnie oceniał przeszłość.

— Co też porabia pani Hermina? — zapytał zwracając się do żony.

— Pogodziła się z mężem i wkrótce wróci do Warnowiec, bo hrabia oddał im cały majątek.

— Chwała Bogu! — szepnął Edmund — zacna kobieta, niech będzie szczęśliwą!

Sąd Edmunda byłby jeszcze korzystniejszym, gdyby był wiedział, co jednak Tonia uznała za stosowne przemilczeć, że trzeciego dnia po owej nocy pamiętnej, Hermina o niczem nie wiedząc, przyjechała ich pożegnać; że Tonia ujrzawszy wchodzącą uchwyciła ją za rękę i przyprowadziła do łóżka w malignie leżącego męża, że zawołała: Patrz oto twoje dzieło! — że Hermina upadła jej do nóg, że obie potem rzewnie płakały, i że hrabina tak długo nie opuściła chorego, póki niebezpieczeństwo całkiem nie minęło.

— Tak mi się podoba! — dał się słyszeć we drzwiach głos pana Zawilskiego, który przyjechał pod sam koniec choroby zięcia i nie wiedząc o tem, co ją spowodowało, był najpewniejszym że Edmund tylko się przeziębił. — Jak tak dalej pójdzie mój chłopcze, to do dwóch tygodni zapolujemy na lisa, bo ani byś dał wiarę ile ich się tu teraz kręci.

— Najchętniej, jeśli Tonia pozwoli — odrzekł Edmund z uśmiechem całując żonę, w której oczach malowało się całe niebo szczęścia.

Co się stało z innemi osobami naszej opowieści?

Pani majorowa pogodziła się nareszcie z zięciem. Gdy raz wychodziła z kościoła, hrabia Dziunio mimo że miał monokl w oku, udał że jej nie widzi. To tak zirytowało panią Zawilskę, że przed ukochaną Pędrasią, która jest ciągle klucznicą we Wolicy, nazwała Dziunia prostym „błaznem,“ na co Pędrasia odrzekła, że ona już oddawna była tego samego zdania. Po tem rozczarowaniu, pani majorowa postanowiła zbliżyć się do dzieci, i o ile wiemy wcale tego nie żałuje.

Pan Damazy gra dalej w djabełka, hrabia Dziunio puścił się za bogatą dziedziczką aż do Monaco, gdzie prawdopodobnie straci resztę majątku; pan Jakób ożenił się z ciepłą wdówką, a pan Krzysztof co raz rzadziej zaprasza kochanych sąsiadów na winko i kolacyjkę, bo dzieci w mieście niesłychanie drogo kosztują. Słowo honoru panie dobrodzieju trzeba się oszczędzać, bo już taka moja natura, że ja wszystko dla dzieci!

Co do pani Herminy, ta z mężem żyje w Warnowcach bardzo przykładnie, i mają córeczkę, którą stary hrabia kołysze i niańczy, na co jednak często się uskarża, bo „Kronika świata“ odpoczywa pod kurzem, którego pod żadnym warunkiem strzepywać nie wolno.

Edmund zaprzyjaźnił się z Henrykiem, Tonia kocha Herminę, a że dzieci zaczynają podrastać, więc rodzice nieraz o tem rozmawiają, że byłoby bardzo pięknie, gdyby Mundzio ożenił się z Jadwisią. Jeżeli to nastąpi, a ich życie nie będzie zbyt spokojnem, może kiedyś i o nich coś napiszemy.

KONIEC.

Nad morzem.

z

J. Autran.

Ach! Jak mię nęci twa dal nieskończona
Siny atłasie!
Ach! Jakbym z czoła ludzkie zdarł znamiona,
Ach! Jakbym w skrzydła ubrał me ramiona,
W skrzydełka ptasie!

Ach! Jakbym chętnie na wiatr je rozwinął.
Na wichry, burze!
Z jaką lubością mknąłbym, leciał, płynął,
Z jaką lubością w mgłach kędyś zaginął,
Lub w fal lazurze!

Ach! Ta mniemana człowiecza potęga
Co za ubóstwo!
Duchem wszechmocny, ledwie gwiazd nie sięga,
Ciałem, co chwila człowiek w czemś ustrzęga,
Panów ma mnóstwo!

By w dal podążył, łaskawej mu woli.
Ziemi a nieba,
Pary, co dysze, wiatru co swawoli,
Lada pismaka, co pasport gryzmoli,
Czekać potrzeba!

Gdzieindziej może te ciasny kajdany
Nie ciążą tyle!
W obliczu morza! Och! Panie nad Pany!
W obec swobody tej, nieokiełzanej,
Bunt kipi w żyle!

Bunt przeciw cielsku, co zwisa ku ziemi
Martwym kamieniem!
Przeciw naturze, co drocząc się z niemi,
Dzieci swe darzy siłami drobnemi,
Wielkiem pragnieniem!

Gdybyż istotnie w tem nam obiecanki,
Lśniły przyszłości;
Gdyby te duszy kapryśne zachcianki,
Zdradzały istnie udział jej, niebianki,
W nieśmiertelności!

Gdyby jej oczy mogły być przeczuciem
Jutrzejszej sławy;
Dziedziczka woli, woli tej poczuciem,
Gdyby w nich z ciała ohydnem okuciem,
Bój wiodła prawy!

Ach! Z tą pewnością każdyb' błogosławił
Doczesne troski;
Każdyb' się hardo swej niewoli stawił
„Dław!—wołał—losie! Nie wciąż będziesz dławił
Jam jeniec boski!

„Jam jeniec boski! Ja, przedtem czy potem
Skrzydła rozwinę!
Z doczesnym życia zrywając kłopotem,
Do mej ojczyzny, do niebios z powrotem
Wolny odpłynę!

„Szum oceanie! Już ci twej swobody
Nie zajrzę zgoła!
Leciuchne czajki muskajcie tło wody.
Nie wam z mym lotem puszczać się w zawody,
Z lotem anioła!“

Ale niestety, wiara w byt za światem,
I w odrodzenie —
Nie wsparta żadnym wiedzy systematem,
Zwiędłym się sypie pod tchem umu kwiatem,
Wraca zwątpienie!

Wraca zwątpienie i z niem te na chwilę
Uśpione burze.
Duch marnych złudzeń postradawszy tyle,
Wściekłej niż przedtem szarpie się w mogile
I klnie naturze!

Ach! Jak mnie nęci twa dal nieskończona
Siny atłasie!
Ach! Jakbym z czoła ludzkie starł znamiona,
Ach! Jakbym w skrzydła ubrał me ramiona,
W skrzydełka ptasie!

Paryż d. 15 Kwietnia 1876.

Naśladował
J. S. Chamiec.

Obrazy z Ameryki.

F. GERSTAECKERA.

(Ciąg dalszy.)

IV.

Z chyżością strzały pruł Oceanik flegmatycznie toczące się wody, na brzegu spłoszone żółwie wygrzewające się do słońca uchodząc przed urojonem niebezpieczeństwem, szybko pomykały do wody, gdy tymczasem za statkiem fale wzburzone rzucały sobą wysoko, urywając za każdym podskokiem kawał czarnej ziemi brzegu. Niebawem palacze nasi poznali „Dianę“ starającą się widocznie Oceanik dogonić, i lubo nie zachęcani, usiłowali rozmaitemi sposobami powiększyć bieg statku, byle zostawić za sobą najszybszy z parowców. Atoli pomimo dobrych chęci i niezmiernej szybkości, z jaką Oceanik posuwał się naprzód, nie mógł ujść pogoni i coraz głośniej a wyraźniej słyszeli za sobą mierzony zgrzyt kół i huk maszyny.

Nasi znajomi pasażerowie udali się z kapitanem do kajuty, gdzie znaleźli Graya w głębokich myślach pogrążonego choć czoło miał pogodne i wzrok jasny.

— Ja wypiję brandy z cukrem! — zawołał do wchodzącego Simmonsa.

— *By god!* — odparł wesoło zagadnięty— to zupełnie myśl moja w tej chwili. Ale szklanka musi być poważnej objętości, bo powiem otwarcie, że mi djabelnie ckliwo po tej historji stryczkowej.

— Dziękuję Bogu, żem uniknął tego widoku. Zawsze to zostawia na później przykre wrażenie.

— Mnie samemu choć się nie poczuwam za całe życie do jakiej winy, formalnie łaskotało na szyi, żem mimowolnie opatrywał się ręką czy to nie stryczek — dodał Simmons na pół żartem a na pół poważnie.

— Jakże zdrowie młodej lady? — zapytał Wilkens Graya, odwracając nieprzyjemny temat rozmowy.

— Spi teraz, ale kochany kapitanie — ciągnął Gray z uśmiechem — jestem obecnie dłużnikiem pańskim. Wprawdzie w Nowym Orleanie zapłaciłem kartę jazdy za siebie, nie wiedziałem jednak, że ukończę podróż w tak drogiem mi towarzystwie i...

— Cóż znowu... — wtrącił poczciwy Wilkens — ta młoda dama jest moim gościem, bardzo więc proszę nie uwłaczać gospodarzowi. Ten Mr. Gray myśli — dodał zwracając się do Simmonsa,— że ja sobie pozwalam wyciągać ludzi z wody aby potem brać za nich pieniądze... Gdyby nam Bóg pozwolił wyratować ze trzy biedne panienki, które gdzieś teraz spoczywają na lodowem dnie rzeki, byłbym je chętnie zawiózł do St. Louis a potem do Nowego Orleanu. Niestety, nie potrzebują już one tego; są w drodze, gdzie się pasaż opłaca — życiem.

— Ale bo ja kapitanie nie popłynę teraz aż do St. Louis przerwał Gray.— Sprawa którą miałem załatwić tamże, już załatwiona, i zamyślam wysiąść w Cairo. Tam pierwszym lepszym statkiem popłynę na Ohio aż do Pointe Pleasant.

— Jeśli ten statek za nami nie jest „Dianą“ jak przypuszczamy — rzekł kapitan potrząsając głową — mógłbyś pan oczekiwać go w Cairo, lecz obawiam się, że poznajomimy się z nim prędzej, aniżeli to życzeniem naszem... Z tem wszystkiem nie powraca Mr. Dalton... gdzież on jest u djaska? był tu przed chwilą? — pytał zaniepokojony oglądając się w koło.

— Pewnie psuje sobie oczy wyzieraniem za tamtym okrętem — odrzekł Simmons mięszając spokojnie cukier w swojej brandy, którą potem wprawną ręką do ust podniósł i szybko pełną szklankę wychylił.

W tej chwili wszedł do kajuty *mate* i szepnął coś kapitanowi do ucha.

— A do pioruna! — zawołał Wilkens zrywając się, na to nie pozwolę! Piękna perspektywa! chyba chce nas wysadzić wszystkich w powietrze...

— Cóż to, cóż to? — zapytali wszyscy.

— Dalton — odpowiedział kapitan z uśmiechem grzecznym — przekupuje mi tam na dole palaczów i odkupił już od kucharza dwie beczułki starej słoniny, którą podsycają ogień pod kotłami.

— O! z całym respektem — zawołał Simmons, jeżeli ten młody zapaleniec ma chętkę przejechać się tym kosztem w powietrze razem ze swoją dulcyneą, ja bardzo dziękuję za uczestnictwo w tej wycieczce. Raz, że mam załatwić w St. Louis bardzo ważne sprawy, a powtóre nie chciałbym także kawałkami płynąć do Nowego Orleanu.

—Porzućcie wszelką obawę panowie—rzekł na to kapitan zwracając się do drzwi — pójdę sam pomówić z inżynierem, żeby doglądał i zapobiegł możliwemu niebezpieczeństwu. Bo ostatecznie, na nic się to nie przyda, Diana musi nas dogonić najpóźniej w Memphis, gdzie zatrzymam się dla wysadzenia na ląd kilku pasażerów.

Simmons, który wyszedł był za kapitanem, wrócił za chwilę i biorąc Graya pod ramię szepnął mu coś do ucha.

— Dałbym chętnie 50 dolarów — rzekł — gdybyśmy mu umknęli... ale przed kapitanem o tem ani pół słowa, bo by się śmiał ze mnie, że piorunując niedawno na wyścigi, teraz sam je doradzam... Powiedz mi Mr. Gray — zaczął po chwili namysłu — zkąd przyszedł do główki twojej bogdance ten dziki pomysł? Płynąć o tej porze do Nowego Orleanu, chyba na to, by tam zginąć marnie na żółtą febrę.

— Krótkiemi słowy skreśliła mi stosunki swoje — rzekł Gray ściskając przyjaźnie rękę starego poczciwca. — Nie jest zamężną, albowiem wieść o jej ślubie była kłamliwą. Taylor rozszerzał ją z umysłu w mojem sąsiedztwie, atoli gdyby i miała męża, dziś jest wolną. Stary Taylor zniknął gdzieś bez śladu, a Hutchinsona głowę widziano w Helenie na brzegu... Ciała jego nie odnaleziono przed naszym odjazdem, jak mi mówił Stewart, który szybko dowiedział się o wszystkiem... Taylor zamierzał udać się do Matamores a ztamtąd do Meksyku. Jakie były jego dalsze plany, nie wiedział... lecz mniejsza teraz o nie... z śmiercią jego spełzły na niczem, a droga Celesta swobodna i moja, moja na wieki!... Na pierwszy statek, płynący na Ohio, wsiądę z nią... za kilka dni zdążymy do Pointe Pleasant, a z tamtąd do mojej plantacji położonej zaledwie o 120 mil w południowo wschodnim kierunku. Nakoniec poczciwy mój M. Simmons, jeśli w połowie tylko tak mi sprzyjasz jak to dotąd okazywałeś, — odwidzisz nas w moim domu po załatwieniu swoich interesów w St. Louis. O brandy postaram się, że będzie znakomita, a zresztą, spodziewam się spędzimy czas dość wesoło.

— Zgoda! — zawołał Simmons ochoczo — przybędę do was, bo i tak dawno już zamyślałem pojechać do Waszyngtonu. Więc oddam synowi zarząd plantacji a sam pohulam kilka tygodni po szerokim świecie. Ale co znaczy to dzwonienie? — przerwał, gdyż w tej chwili głośny dźwięk spiżu do nich doleciał. — A prawda, wszak to Memphis, i „Diana“ z nami — dodał, gdy wyszli na pokład. — Boję się, byśmy tu nie dostali konstabla na pokład, jeźli się nie zwiniemy wczas z odjazdem.

Zaledwie Oceanik minął kilka okrętów spoczywających u brzegu, i zawinął na wolnem miejscu aby wysadzić kilku pasażerów, a innych przyjąć na pokład, „Diana“ przybiła równie do brzegu o jakie 300 kroków w tyle.

Całe towarzystwo kajutowe Oceaniku, z wyjątkiem Celesty pozostałej z słowem pociechy przy strapionem dziewczęciu, zgromadziło się na hurricanedeck'u, bo interesując się żywo losem młodej pary, z bijącem sercem i ukrywaną trwogą patrzyło na wysiadających pasażerów Diany, szukając między niemi groźnego starego ojca panienki.

Tymczasem kapitan przez dalekowidz obserwował w tym samym zamiarze pokład Diany, podczas tego zaś oblicze jego było przedmiotem licznych studjów. Mianowicie usiłowano odgadnąć z jego miny ażali sprawdzały się domysły ogólne.

Dzwon sygnałowy z Diany dał się słyszeć i zwykła scena z pasażerami nienależącymi do statku, powtórzyła się do joty. Palacze zatrzasnęli drzwiczki od ognisk, otworzone dotychczas dla wypuszczenia gorąca, i długiemi hakami przez umyślne otwory poprawiali ogień sycąc go nowem paliwem, w skutek czego dym czarny wzniósł się z żelaznego komina.

— Zadzwonić natychmiast Mr. Blackheathe! — zawołał kapitan Wilkens do *mate*'a. Zdaje mi się, że filutka Diana chce nam tego panicza

wprost na pokład przywieść, bo właśnie tam na bodendecku widzę podobną figurę. — Dobrze — niech tu przyjdzie do nas — ale — *blącthim* — czy uda mu się z mojego statku zabrać tę młodą parę wbrew jej woli; nie sądzę zaś czy zechce dobrowolnie oddać się pod jego opiekuńcze skrzydła. A uprze się stary tyran płynąć z nami aż do St. Louis, — dobrze, w takim razie wysadzę Daltona z jego panią w nocy w Kaskaskia lub innem jakiem małem miasteczku, i podczas gdy oni spokojnie zaślubią się, stary będzie gonił do St. Louis. Djabła zje potem, czy się dowie, gdzie oni wylądowali.

— *Go ahead!* — zawołał do piloty i sygnał zadźwięczał powtórnie. Podczas gdy Djana zbliżała się zwolna, brzegiem pędził w kierunku Oceaniku przeraźliwie wołając i machając w powietrzu czapką jakiś człowiek, który widocznie z pospiechu zapomniał był wziąć surdut na siebie, bo biegł w koszuli. A biegł co mu sił starczyło i wciąż wołał po niemiecku: Stójcie — na Boga stójcie! Z międzypokładu Oceaniku wydobył się w odpowiedzi głośny okrzyk radości.

Był to ten sam Niemiec, który w Nowym Orleanie pozostał sam na lewji spóźniwszy się na pokład. Wsiadł na pierwszy odpływający w tym samym kierunku statek, a szczęściem dla niego była to Diana — bo żaden inny parowiec byłby nie dogonił Oceaniku — i teraz gdy prawdziwą łaskę opatrzności widział blisko siebie, tych co mu byli najdrożsi na ziemi, los zagrażał mu powtórną ich utratą. Więc nie dziw, że straszna obawa go opanowała na widok zabierającego się do wyruszenia Oceaniku, i że krzyczał całą piersią wzywając litości.

— Odbijajcie od brzegu — zawołał *mate* z pokładu widząc wahanie się majtków snać oczekujących przybycia biednego człowieka; — *damn it* — czego zagapiliście się jak gapie.

— Zatrzymać się z odbijaniem — zawołał kapitan wnosząc z radości i obawy kobiet na pokładzie, kim był dla nich ten nieznajomy. — Rzucić pomost i zabrać tego człowieka na pokład.

— *Ay* — *ay* — *Sir* — odrzekł z niezadowoleniem *mate*, spełniając jednak rozkaz swego przełożonego.

W tej chwili przepływała w pobliżu z szumem szybko nad podziw Diana. — *How are you* — Mr. Wilkens! wołał młody i słuszny mężczyzna z hurricanedecku, witając naszego kapitana, odpowiadającego mu równie przyjacielskiem pozdrowieniem. Był to dzielny dowódca Diany.

Dalton cisnął kurczowo rękę Graya i dziękczynnym wzrokiem patrzył w niebo — gdy straszny dlań statek nie zatrzymując się wcale, przeleciał przed ich oczyma.

Ogólną uwagę skierowano teraz na odgrywającą się u dołu scenę, gdy ów Niemiec zdążywszy na pokład, witał straconą w Nowym Orleanie rodzinę. Żona i dzieci obskoczyły go, ściskały i całowały — tysiącem pytań zarzucając bezustannie.

Nawet palacze i deckhandy — ludzie najczęściej prości i zimni — zahartowani na jakiekolwiek uczucie — tak byli przejęci tem ciepłem serdecznem rozlewającem się w koło, że nie szydzili swoim zwyczajem; bo choć nie rozumieli ich mowy — odczuli to szczęście, tę miłość bezgraniczną, i nie jednemu łza zakręciła się w oku, którą pilnie połykał przed towarzyszami, na wspomnienie, że zostawił w domu żonę i także drobne dziatki, niepewne czy ojciec powróci — czy je przyciśnie do serca i nakarmi kawałkiem zapracowanego suchara. Byli i tacy, którzy przystępowali do Niemca i niemym uściskiem ręki okazywali mu swoją radość i współczucie. On zaś nie posiadał się z nadmiaru szczęścia. Los mu był srodze dokuczył, ale go teraz nagrodził sowicie, za wszystkie cierpienia.

Kapitan Dalton, Simmons, Gray i Stewart, wiedzeni ciekawością zeszli na międzypokład — i Stewart urodzony w Pensylwanji, mówiąc dobrze po niemiecku, musiał przybyłego rozpytywać szczegółowo, gdzie Diana zatrzymywała się, i czy za Vicksburgiem nie zabrała na pokład jakiego starego człowieka — któryby w tym celu z brzegu znakami statek do siebie był zwabił.

— Czy kto z brzegu nawoływał statek znakami, nie umiem panu powiedzieć — rzekł Niemiec; — tyle tylko przypominam sobie, że w jednem miejscu spotkaliśmy jakiegoś pana w łódce z dwoma czarnymi wioślarzami, który wołał i machał w powietrzu chustką. Jeden Amerykanin umiejący trochę język niemiecki, mówił mi, że ten jegomość chciał wsiąść do nas na statek. Że zaś trochę za daleko był od nas oddalony, a nasz kapitan, jak mówiono, założył się był, że w sześć dni zdąży do Louisville'u — więc nie zatrzymywał się nigdzie po pasażerów, z wyjątkiem miejsc, gdzie który z płynących wysiąść musiał. Międzypokładowcy do których i ja należałem, nie płacili nic za drogę, jeno musieli pomagać drzewo nosić na statek – dodał, widząc że wszyscy słuchają go uważnie, choć tylko jeden Stewart opowiadanie rozumiał.

— I cóż Mr. Dalton — zagadnął kapitan zwracając się doń z uśmiechem — gdy Stewart opowiedział po angielsku sprawozdanie Niemca — teraz możesz pan spać spokojnie i bezpiecznie — bo żaden statek z Nowego Orleanu nie dogoni już Oceaniku choćby nawet samą smołą i siarką palili pod kotłami. Najpóźniej 7 staniemy w St. Louis i jeśli pański teść *in spe* człek praktyczny, powinien wrócić do domu, i oczekiwać spokojnie zaproszenia na chrzciny wnuka... — dodał z filuternym uśmiechem. — A zechce trochę pozłościć się, ma przecie swoich czarnych!

Podczas tego Oceanik rozpuścił skrzydła na dobre — i pędził w zawody z wiatrem. Przed nami, jak oko zasięgło, słało się w zielonych ramach żółte zwierciadło rzeki; za nami, w mglistej oddali, malały coraz bardziej białe domy Memphisu, potem tylko białem pasmem wąskiem świeciły chwilę i w końcu zginęły rozlewając się w padającym zwolna mroku wieczornym.

Z nadchodzącą nocą — zatrzymano raz statek dla nabrania drzewa, poczem wpłynął na te olbrzymie a częste skręty rzeki — z których jedno największe — bo 25 mil długie — a żeglarze „łokciem czarta" nazwali ciągnące się aż do miejsca gdzie Ohio „Ojcu wód" swoje wody w dani przynosi.

Tego wieczora Simmons musiał szukać nowego partnera do partyjki, bo Gray za szczęśliwy był i nadto oddalony od prozaicznego świata kart i tej podobnych rozrywek, by myśleć mógł o grze — co boleśniejszem było dla Simmonsa, o zakrapianiu się co chwila „najzdrowszem" z napojów "brandy z cukrem."

Najszczęśliwszy z ludzi siedział u boku Celesty, i trzymając jej piękną rączkę w swej gorącej dłoni, pochylony ku niej, opowiadał swe przebyte cierpienia i męczarnie. Ona słuchała go całą duszą kochającej kobiety, a gdy skończył — łzy kryształowe zaświeciły w jej pięknych ciemnych oczach, i z czarownym uśmiechem, podobnym do słońca wiosennego po majowym deszczu, rzuciła mu się na szyję — szepcąc miłośnie, że nic już, nic w świecie ich nie rozłączy za życia.

Przyszła kolej na Celestę. Najdrobniejszy wypadek nie został teraz pominięty — dni jej każdej niemal chwili, spędzonej w niewoli u okrutnego Taylora — a było ich tyle, tyle, długich, jak wiek cały, dla rozłączonych kochanków — opisywała szczegółowo. Ile wycierpiała na wiadomość o jego słabości w Nowym Orleanie, nie mogąc pospieszyć, by go odwidzić przynajmniej ukradkiem. Co więcej, gdy przemocą powieziono ją dalej, i utraciła prawie nadzieję obaczenia go kiedykolwiek w życiu, z jaką rozpaczą pisała doń wiadomy list, który choć nie doszedł go w czasie należytym, zawsze jednak szczęśliwem zrządzeniem Opatrzności jedynym był twórcą ich połączenia, i rzec można, uratował jej życie. Ten młody Taylor, nienawistny i nieznośny, dopełniał dzieła swego niegodnego ojca, dogryzając jej swojem natrętctwem i uczuciem udanem, że wkońcu zagroziła ucieczką do klasztoru w St. Louis, co także zapewne było powodem ich nagłego wyjazdu z tego miasta. Ile wnioskować mogła z przygotowań do podróży, zamierzano udać się z nią do Meksyku. Ale śmierć nieubłagana, w drodze, położyła koniec dalszym znęcaniom się nad biedną sierotą, a ten wypadek straszny, tak okrutny w następstwach dla innych, dla nich był zwiastunem nowego życia, pełnego nadziei i szczęścia upragnionego.

Nie inaczej przepędzał czas Dalton, u boku zdobytej sobie kochanki, bezpieczny teraz i spokojny o los im wspólny. Słowem, możemy czytelnika zapewnić słowami starego Simmonsa, że jak długo Oceanik był Oceanikiem, pewnie nie posiadał w swojem wnętrzu czworga ludzi tak szczęśliwych i zajętych sobą, jak te dwie pary kochanków. (C. d. n.)

Myśli o najnowszym kierunku w historji

przez

BOLESŁAWA CZERWIEŃSKIEGO.

(Ciąg dalszy.)

IV.

Zostawiliśmy człowieka w starszym okresie kamiennym i widzieliśmy w przybliżeniu, na jakim stopniu rozwoju prawdopodobnie zostawał. W następnym perjodzie zwanym średnim kamiennym, albo reniferowym okresem (renifer obecnie znajdujący się tylko na północy był wówczas mieszkańcem środkowej Europy, jak o tem świadczą wykopane kości tego zwierzęcia we Francji) człowiek podniósł się już dość wysoko w cywilizacji, broń wykuta z kamienia zdradza już pewne zamiłowanie sztuki, znalezione naszyjniki z kul kamiennych i muszel każą wnioskować, że pewnego rodzaju zbytek był już znanym. Mieszkał jak pierwotnie w jaskiniach, urządzonych jednak stosownie. Żywił się mięsem szczególniej reniferów i koni i umiał robić niektóre naczynia garncarskie. Ciało swe malował czerwoną glinką, odziewał się skórami dzikich zwierząt. Trudnił się myśliwstwem i rybołowstwem. Obok wykopanych kości człowieka z owych czasów znaleziono szkielet psa, zdaje się więc, że pies już wówczas był oswojony. Prawdopodobnem jest także, że i renifery, które dają się łatwo oswoić w tym

okresie, zostały przez człowieka ułaskawione i żywiły go swojem mlekiem i mięsem. Od myśliwstwa i rybołowstwa dzieli pasterstwo tylko krok jeden. Człowiek wkrótce oswoił konia i wołu. W ten sposób ludzkość w nowszym okresie kamiennym pod względem zatrudnienia podzieliła się na dwie części: myśliwców i pasterzy.

Do tego czasu odnieść należy tworzenie się społeczeństw: szczególnie pasterstwo usposabia do wspólnego życia. Zwiększająca się ilość trzody, wymaga coraz większej liczby pasterzy, a i myśliwstwo każe się łączyć ludziom w grupy, celem podejmowania wspólnych wypraw. Oba te jednak zatrudnienia nie tylko że nie wymagają łączenia się ludzi w większe grupy, a mianowicie w państwa, ale owszem czynią takie połączenia niemożliwemi, tak bowiem pasterze jak i myśliwcy wskazani są przez swe zatrudnienia na ciągłą zmianę siedlisk. Dopiero rolnictwo każe człowiekowi zająć stałą siedzibę, czyni go właścicielem nieruchomej własności, usposabia do uregulowania wzajemnych stosunków, słowem uszlachetnia go w ten sposób, że czyni go zdolnym do nałożenia sobie samemu, stałego tak jak jego własność prawa. Kiedy człowiek stał się rolnikiem ściśle określić się nie da, w każdym jednak razie nastąpiło to w epoce bronzu, poprzedzającej epokę żelaza, która już jest historyczną. Utworzenie państw nie mogło jednak nastąpić bezpośrednio po osiedleniu się pewnej części ludzi i oddaniu się rolnictwu. Państwo nie jest naturalnem następstwem istnienia rodziny i gminy: jest to utwór na pół sztuczny geograficznego położenia i ambitnej myśli ludzkiej. Gminy powstały dobrowolnie, albowiem wszystkim członkom były korzyści widoczne, idea zaś państwowa nie tylko, że przedstawia jednostkom korzyści bardzo problematyczne, ale co więcej w niezmiernej ilości wypadków działa na niekorzyść moralną i materjalną jednostek, gmin i narodów. Stąd też od pierwszego powstania państw antagonizm jednostek z ideą państwową jest widoczny, a w najnowszych czasach idea państwowa coraz więcej liczy przeciwników. Nie wchodząc nawet w to, co było źródłem państwa, przyznać musimy, że idea państwowa była jedną z najbardziej cywilizacyjnych i przyczyniła się do rozwoju ludzkości: 1o urządzając społeczeństwa podług pewnej stałej formy, 2o wynajdując w celu utrzymania się coraz nowe myśli i cele, i 3o będąc łącznikiem duchowym ludzkości. Człowiek poczuł się dopiero w całej pełni człowiekiem, gdy się stał obywatelem.

Wszystkie trzy stany cywilizacyjne ludzkości w przedhistorycznych czasach: łowiecki, pasterski i rolniczy następowały kolejno po sobie, co nie przeszkadza jednak równoczesnemu ich trwaniu. Dzikie ludy Ameryki dotychczas zajmują się głównie myśliwstwem, po obszernych płaszczyznach Azji pasą trzody koczownicy Kirgizi, są znów kraje przeważnie rolnicze. Cywilizacja rozprzestrzenia człowiekowi zakres pracy, nie jest jednak dotychczas w możności nakazać pewnemu ludowi działać co innego, jak to, do czego go geograficzne położenie zmusza. Lud mieszkający nad morzem w kraju górzystym pozostać musi przeważnie przemysłowym i handlującym, przeciwnie naród zajmujący urodzajne płaszczyzny pozostanie przeważnie rolniczym. Mówiąc, że ludzkość przechodziła przez trzy stany cywilizacyjne: łowiecki, pasterski i rolniczy, nie rozumieliśmy tego w ten sposób, jakoby wszystkie składające ludzkość rodziny i narody przechodzić musiały ten sam proces. Wszystkie zaczęły od myśliwstwa, jedne atoli w skutek niekorzystnego położenia geograficznego nie zdołały się wznieść po nad ten stan, inne wzniosły się do pasterstwa, a tylko niektóre stały się rolniczymi wśród sprzyjających okoliczności. Jakie to były okoliczności, zaraz zobaczymy. Widzieliśmy, że człowiek pierwotny musiał zostać myśliwcem z powodu, że zabijanie zwierząt było najłatwiejszą pracą w celu zdobycia sobie utrzymania. W podzwrotnikowych krajach, gdzie miał praczłowiek swoje siedlisko, wszędzie źwierząt poddostatkiem: na dolinach i górach, wśród łąk i lasów. Człowiek więc do myśliwstwa nie był popchnięty przez geograficzne położenie, albowiem zatrudnienie to nie wymaga ani klimatu, ani terenu, ani nawet wyboru zwierząt. Inaczej ma się rzecz z pasterstwem. Ażeby człowiek z myśliwca stał się pasterzem, potrzeba było, aby w zamieszkanym przez niego kraju 1o znajdowały się zwierzęta łatwe do oswojenia i pożyteczne, szczególniej przeżuwacze i 2o aby kraj ów obfitował w paszę dostateczną do wyżywienia rozmnożonych stad. Stan więc pasterski mógł powstać tylko między ludami, zamieszkującymi stepy, czego i to także dowodzi, że stepy są siedliskiem dzikich tabunów, oswojonych obecnie zwierząt. Stan rolniczy więcej od dwóch poprzednich wymagający pracy i zapobiegliwości powstać mógł tylko w takim kraju, w którym nie było dostatecznej paszy dla bydła, a natomiast znajdowały się dziko rosnące zboża, gleba musiała być nie zbyt urodzajna, albowiem tylko taka mogła zmusić człowieka do pracy koło niej. Wiele bardzo okoliczności przemawia za tem, że stan rolniczy powstał między ludami zamieszkującymi podgórza. Człowiek w pierwotnem stadjum swego rozwoju nie mógł uprawiać urodzajnej gleby z tego powodu, ponieważ znajduje się ona po nad rzekami, od których namułu uzyskuje swą własność, w takim razie koniecznie trzeba umieć zabezpieczać płony od wylewów rzek, które je niszcząc, wkrótce odstręczyłyby człowieka od rolnictwa i potrzeba prawie zawsze osuszać grunta za pomocą sztucznych środków. Uprawianie urodzajnych gleb po nad rzekami wymaga koniecznie znajomości hidrauliki i budownictwa wodnego, czego Egipt daje najlepsze przykłady, a tych wiadomości człowiek zabierający się dopiero do rolnictwa mieć nie mógł. Za twierdzeniem, że stan rolniczy powstał najpierw na stokach gór przemawia jeszcze i ta okoliczność, że w takich miejscowościach woda z gór skrapia ziemię, ale nie pozostaje na niej tylko swoim ciężarem spada niżej nie użyźniając jej zanadto. Etnografja nie pozwala prawie wątpić, że do lesistych okolic przywiązany jest stan łowiecki, do stepów pasterski, a do wyżyn rolniczy.

Nie piszemy „Historji cywilizacji“ do czego nie czujemy się na siłach, nie daliśmy więc i nie damy dokładnego obrazu rozwoju ducha ludzkiego. Z przedhistorycznych czasów zaznaczyliśmy tylko kilka najróżniejszych punktów niezbędnych do pojęcia tego, o czem wkrótce mówić będziemy. Ludzkość doszedłszy do pierwszego dnia historycznych czasów, była już w posiadaniu wysokiej cywilizacji. Powstały już narody, ludzie przyswoili sobie pożyteczne zwierzęta, nauczyli się uprawiać rolę, obeznali się z sposobami tworzenia ognia i jego zastosowaniem, poznali własności metali i zaczęli wyrabiać z bronzu i gliny na pół wypalanej rozmaitego rodzaju narzędzia, budowali mieszkania z drzewa i kamienia, a w budownictwie wodnem postąpili nawet bardzo wysoko, czego dowodzą szwajcarskie budowle nawodne. Porównując praczłowieka z człowiekiem w poranku czasów historycznych znajdziemy między jednym a drugim tylko zewnętrzne podobieństwo, między jednym a drugim zachodzi większa różnica, aniżeli między biblijnym Nemrodem, a teraźniejszym kupcem. W przedhistorycznych czasach cywilizacja dokonała największego i najtrudniejszego zadania: stworzyła się — i ugruntowała. Przysłowie łacińskie „Omne initium grave“ potwierdza początek cywilizacji w najlepszy sposób. Weźmy naprzykład wynalezienie sposobu rozniecania ognia. Na pierwszy rzut oka zdaje się, że wynalazek ten o mało tylko podniósł cywilizację, a jednak jest on ojcem prawie wszystkich nowoczesnych wynalazków, a człowiek, który go dokonał, jest bezwątpienia większy, aniżeli James Watt. My w nowszych czasach tylko ulepszamy i zastosowujemy to, co jeszcze w przedhistorycznych czasach wynaleziono. Cywilizacja to lawina: z małej bryłki staje się coraz większą, nabiera w skutek swej bezwładności, będącej jej własnością, coraz to większych rozmiarów, a rozmiary te coraz bardziej olbrzymieją, im dalej się posuwa. Ten stworzył lawinę, który rzucił mały kamyczek po śniegowej spadzistości, ten jest twórcą cywilizacji, kto nauczył ludzkość najelementarniejszych sposobów zaspakajania swych potrzeb. Epoki przedhistoryczne dla filozofa dziejów przedstawiają stokroć większą wartość, niż czasy historyczne i w nich bowiem ludzkość przebyła ~~ludzkość~~ w cywilizacji bez zaprzeczenia większą drogę, aniżeli w czasach historycznych. Wspominaliśmy zdanie Hellwalda, że filozof historji powinien się przedewszystkiem zajmować stanami społeczeństwa, a nie faktami. Czasy historyczne wytworzyły tylko jeden stan — przemysłowy, podczas gdy do czasów przedhistorycznych odnosimy wytworzenie trzech poprzednich stanów. Człowiek tegoczesny przeniesiony w czasy pierwszych Faraonów nie znalazłby się wśród obcej zupełnie cywilizacji: nie jedno wydawałoby mu się złem i śmiesznem, nie jednego by mu brakowało, ale z tem wszystkiem przyzwyczaiłby się i potrafiłby żyć wcale znośnie, ale Egipcjanin z czasów pierwszych Faraonów przeniesiony w czasy pierwszego pojawienia się człowieka na ziemi nie tylko, że niepotrafiłby się do tego stanu przyzwyczaić, ale musiałby umrzeć wkrótce. Czasy historyczne w dziejach ludzkości, są tylko małą chwilą, a zdobycze naszej cywilizacji jakkolwiek zdumiewają samych swych twórców, w porównaniu do tego, co człowiek uczynił w przedhistorycznych czasach, są dosyć drobne. Czasy przedhistoryczne wytworzyły materjał i wskazały sposób zbudowania, my teraz tylko dorabiamy gzymsy i sztukaterje.

Ludy, które w skutek swego geograficznego położenia wzięły się do rolnictwa, i połączyły się w państwa, nie były z początku liczne, a jednak stały się wskrzesicielami i że się tak wyrazimy rozsadnikami cywilizacji. Każda wyższość ma tę własność, że wywiera wpływ i podnosi otoczenie przynajmniej w przybliżeniu do swego djapezonu. Do czego doszedł jeden naród wkrótce stać się musiało własnością innych odpowiednio usposobionych. Gdy tylko jeden naród stał się rolniczym, chcąc nie chcąc musiał udzielić innym swego stanu cywilizacyjnego, jeżeli tylko okoliczności zewnętrzne sprzyjały. W ten sposób nie każdy naród musiał sam ze siebie wytwa-

*

rzać cywilizację, ale przyjmował ją od innego. Cywilizacja jest jak powietrze rozprężliwa, rozprzestrzenia się sama, a gdziekolwiek jej powiew zaleci, wydaje owoce. Każdy człowiek, każdy lud, pracujący dla siebie, pracuje tem samem dla ogółu. W czasach historycznych cywilizacja zaczęła postępować szybkim krokiem w skutek utworzenia się państw. Pierwej człowiek pracował tylko dla siebie, a teraz był zmuszony część swej pracy poświęcić społeczeństwu; pierwej obcował człowiek z człowiekiem, teraz państwo z państwem, idea z ideą. Wymiana myśli zaczęła się odbywać na wielką skalę, doświadczenie jednego narodu stawało się własnością drugiego. Na szczególne uwzględnienie zasługują dwie drogi, któremi się cywilizacja rozprzestrzeniała: handel i wojna. Jakkolwiek handel już był znany ludziom w czasach przedhistorycznych*), tak samo jak i żegluga, rozwinął on się jednak dopiero w czasach, gdy już były uregulowane stosunki społeczeństw i wtedy dopiero zaczął wywierać kolosalny wpływ na cywilizację. Kupcy nie tylko uczyli narody nowych wynalazków i wzbudzali w nich coraz to nowe potrzeby, dla których zaspokojenia potrzeba było natężać władze fizyczne i umysłowe, ale co więcej przenosili oni z jednego miejsca na drugie swe poglądy, zapatrywania religijne itd. „Kupcy z swemi towarami, powiada Peschel**), rozprzestrzeniali wzory sztuki, wynalazki, doświadczenia, zwyczaje, przyzwyczajenia, poetyczne utwory, a w ślad za kupcem postępował misjonarz“. Nie należy zapominać także, że handel jest twórcą komunikacji, a szczególnie żeglugi, że spowodował wiele wynalazków, że podnosi dobrobyt ludów, a tem samem ich stan cywilizacyjny. Największą jednak zasługą handlu w obec cywilizacji jest to, że wpłynął stanowczo na rozszerzenie się rodu ludzkiego po całej ziemi i że w przybliżeniu ujednostajnił cywilizację. Handel dokonał tego przez kolonje. W odległej starożytności, przy braku dróg i w obec niebezpieczeństw, na jakie kupieckie karawany były narażone, okazała się konieczna potrzeba stacyj, w którychby można bezpiecznie odpocząć, nabrać żywności, a w danym razie złożyć towary. Stacje te z początku małe, w krótkim czasie wzrosły w bogate miasta, do których w razie niebezpieczeństwa lub przeludnienia przenosiła się ludność kraju rodzinnego. Wiele najwspanialszych miast azjatyckich leżących na drodze handlowej z Azji Mniejszej do Indyj, miast nadmorskich Afryki i europejskiego pobrzeża morza Śródziemnego, morza Czarnego i Atlantyku zawdzięczają tym stacjom swój początek. Do jakiej potęgi niektóre z nich doszły, niech poświadczą: Kartagina i Marsylja. Oprócz tych kolonij, że je tak nazwiemy, etapowych, zakładano kolonje w innym celu, a mianowicie w celu wydobywania surowych produktów przeznaczonych na handel. Charakter ten mają wszystkie kolonje Fenickie na wybrzeżu Bałtyku i greckie w dolnych Włoszech. Handlowi więc zawdzięczać należy, że cywilizowane narody rozprzestrzeniły się po dzikich krajach, do których ich oprócz zysku nic nie nęciło, i że weszły w bezpośredni związek z dzikimi ludami i udzieliły im swej cywilizacji.

*). W przedhistorycznych jaskiniach odkopanych w Perigord znaleziono kryształy górskie, muszle pochodzące z oceanu Atlantyckiego i inne przedmioty, do których posiadania mieszkańcy tych jaskiń tylko przez zamianę dojść mogli.

**) Völkerkunde str. 217.

Nadmienić tu musimy, że odkrycie i pozyskanie Ameryki dla cywilizacji Europejskiej, która obecnie tam wydaje obfitsze niż u nas plony, zawdzięczać mamy jedynie średniowiecznym potęgom handlowym, usiłującym z emulacji względem siebie wynaleźć najkrótszą drogę do pełnych bogatych produktów Indyj. Nie zapominajmy także, że najwięcej dla rozprzestrzenienia cywilizacji uczynili w średnich wiekach handlarze genueńscy i portugalscy, a w nowszych czasach Anglicy i Holendrzy. Zaszczepienie europejskiej cywilizacji w Nowej Gwinei i Indjach, przełamanie muru Chińskiego, asymilowanie się Japonji z Europą, budzące obecnie powszechny podziw, oto zasługi opasłych bankierów Amsterdamu i poważnych obywateli londyńskiej City. (C. d. n.)

Listy z Warszawy

Aurelego Maura.

(Dokończenie).

Prasa nasza, terroryzowana od tak dawna przez cenzurę, nie zdołała aż dotąd wyrobić w sobie przymiotów stanowczości. Zestraszone słowo tak przeważa myśl, że ona nawet w kwestjach niewątpliwych waha się w wyborze kierunku. Drobiazgi, skandaliki, literackie kłótnie, słowem wszelka śmieć publiczna niewymagająca biegłości w sądzeniu, przechyla u nas szybko opinję na tę lub inną stronę. Ale sprawy szerszego znaczenia wywołują w naszem dziennikarstwie różnojęzyczny gwar Babelu. Umysły powstrzymywane od swobodniejszego polotu, niedopuszczone do wyrokowania w rzeczach leżących po za granicą wypadków codziennego życia, nie umieją u nas operować na większej przestrzeni. Jakie zdanie mieć mogą Polacy pod rossyjskim zaborem o prawach rozwoju innych narodów, kiedy im od dzieciństwa nie wolno wiedzieć, myśleć i mówić o swoim? Zmysł polityczny u nas nie istnieje, albo tak osłabł, że niezdolny jest do należytego działania.

Gdyby nie wojna, doprawdy nie wiem, cobyśmy tu czytali i pisali. Niczem w porównaniu z nią deszcz zlewający się na spiekłe i jałowe pola. Bez niej na roli naszego codziennego piśmiennictwa ledwieby się gdzieniegdzie zieleniło. Lepszy rydz.... chociaż więc bieg walki idzie ociężale i nie dostarcza ciekawości politycznych piorunów, w czasie jednak obecnej suszy jest często nieoszacowanem źródłem pokrzepienia dla — dziennikarzy. Pomyśleć tylko o ich mozole, gdyby zamiast kierować ruchami tureckich i serbskich wojsk, musieli podziwiać mądre reformy japońskiego Mikada lub wykradać gabinetowe tajemnice drzemiącemu na kissingskiej trawie Bismarkowi. To też nic dziwnego, że w dniu wypowiedzenia wojny wszyscy nasi politycy odzyskali humor, powagę i sprawili sobie nowe garnitury. Zwłaszcza dyplomata z *Gazety Warszawskiej* wzrósł w swojem i cudzem przekonaniu do tak wysokiej miary, że cała fala naszego publicznego życia przepływa w niedostrzeżonej głębi pod jego nogami, nie skropiwszy mu nawet kostek. Wyjdźcie kiedy we Lwowie na waszą górę i spojrzyjcie w stronę Warszawy, jeśli na niebie spostrzeżecie jakąś dziwną jasność, to wiedzcie, że taka łuna bije z głów naszej dziennikarskiej polityki. Wy nie macie najmniejszego pojęcia, co u nas wywnioskowywa się z najprostszej wiadomości, z doniesienia np. że funt mięsa podskoczył w cenie nad brzegami Bosforu lub Dunaju o dwa centimy. A jakie też układamy napomnienia dla sułtana i serbskiego księcia! Turcy nie mogą sobie poradzić z ułożeniem konstytucji; ponieważ mieszkacie bliżej nich, bądźcie łaskawi dać im do zrozumienia, że u nas każdy dziennik dla nich wyśmienitą konstytucję wypracował, że więc mogą sobie jednę z nich nabyć, a mieliby przytem obszerne koło wyboru. Ale wracam do rzeczy. Wojna więc nas zbawiła. Piszemy, a to co piszemy, ludzie czytają. Zresztą cisza, głucha cisza. Chociaż lato nie skwarne, wysuszyło wszystkie zdroje publicznego zajęcia. Teatr wyludnił się ze swojej załogi. Modrzejowska wyjechała gdzieś i niewiadomo na jak długo. Odlot jej — podobno do ciepłych krajów — nastąpił w warunkach rozmaicie tłumaczonej zagadkowości. Jedni utrzymywali, że artystka jedzie rozplątywać potargane nerwy, drudzy, że pragnie przenieść się na angielską scenę(!), inni że zamyśla grać w dalekiem ustroniu sielankowe role na łonie natury, inni, że nieobecnością chce zaostrzyć przytępioną długim pobytem adorację, inni.... Ale ktoby te hipotezy spisał, zwłaszcza bez ubliżenia użytemu na nie papierowi! To tylko jest w nich prawdziwem, że 1) p. Modrzejowska wyjechała i 2) że wyjechała w skutek jakiejś przyczyny. To niech nam na teraz wystarczy. A wystarczyć powinno, bo nawet błogosławione losy nie pozwoliły nam prawie wcale tęsknić za ulubioną artystką. Bo jeszcze z pewnością nie odpoczęła na pierwszym etapie swej podróży, gdy my, wiarołomni, już zachwycaliśmy się panną Deryng. Wyrażając się prywatnym językiem tutejszego teatralno-krytycznego areopagu, „Deryng j u ż w dwóch rolach Modrzejowską wzięła.“ Z tego widzicie, że jej w wojnie z tutejszą reżyserją i jej kurjerkowymi siepaczami lepiej się powodzi niż Serbom i Turkom. Bo j u ż zdobyła dwie silnie bronione pozycje, a tem samem odniosła dwa stanowcze zwycięztwa. Czy nieobecna sułtanka tutejszej sceny wie o tem, powiedzieć nie umiem, wolałbym zaś, ażeby nie wiedziała, jeśli hipoteza o jej potarganych nerwach jest prawdziwą. Nieodstępna towarzyszka wszelkich tryumfów, zawiść, stara się osłabić ich doniosłość w wystąpieniu panny Deryng, ale *die Hunde bellen und die Karavane geht,* powiada niemiecki humorysta. To jest na pewno — „płaczcie anieli, płaczcie duchy święte“ we Lwowie, bo panna D. już do was nie powróci. Dziś w teatrze tłuką się zmory, dzięki zaklęciom syna, ukazuje się często duch ojca Bogusławskiego odstraszający widzów trupim widokiem swych komedyj, ale gdy przyjdzie jesień, gdy wystąpią nowe sztuki, p. Deryng będzie miała sposobność szerzej rozwinąć swój talent i ściślej związać się z uczuciami publiczności.

Ogródkowe teatrzyki, jak zwykle, wstydzą dyrekcję rządową obfitością swego repertoarza i co ważniejsza — widzów. Zwłaszcza poznańska trupa Doroszyńskiego i Terenkoczego, która szlachetnością smaku w wyborze przedstawianych utworów i umiejętnością gry zjednała sobie powszechną sympatję prasy, niemal codziennie napełnia kasę. Bierze w tem znaczny udział, i ta wszystkim wiadoma okoliczność, że teatr poznański jest instytucją na miejscu pognębioną, że więc obywatelska powinność nakazuje go wszelkiemi siłami u nas popierać. Poczciwa publiczność warszawska pragnie mu dać zapomogę na wy-

trwanie w ciężkich warunkach pruskiego ucisku. Z tych to powodów stał on się jej ulubieńcem w rodzinie teatrzyków ogródkowych, traktowanych zwykle lekceważąco i grymaśnie.

Stolica Serbji w czasie wojny.

Belgrad 1 sierpnia 1876.

I ktoby chciał z tego co mówiono i pisano o Belgradzie mieć pojęcie o tem jak w nim jest istotnie, ten bardzo by się zawiódł. Korespondenci albo wprost nieprzychylni Serbom, albo tylko nieznający języka i ducha narodu, brali pozory za rzeczywistość, właściwości miejscowe za zboczenia chwili, i wytworzyli ztąd obraz obecnego stanu rzeczy w mieście, tak dalece odbiegający od prawdy, jak telegramy tureckie od serbskich. Trzeba bowiem wiedzieć jak się piszą korespondencje z Belgradu. Z gniazda sprawozdawców wojennych codziennie dwu lub trzech wyjeżdża statkiem do Belgradu na żer. Są to po większej części Francuzi, którzy żadnego innego języka nie znają — albo Niemcy. Na brzegu spotyka ich gromada przewoźników na pół nagich, z nożami u pasa i zamaszystemi wąsami, czarnych a barczystych. Niech że przypadkiem który z nich zaklnie po serbsku (co jednak prawdę powiedziawszy rzadko się słyszy) a natychmiast powstanie depesza o groźnej postawie belgradczyków i panującem tam niezadowoleniu. Dalej prowadzą pana sprawozdawcę do hotelu pod „Serbską koroną“ albo pod „Serbskiego króla,“ bo tam chce koniecznie dla spotkania się z innymi kolegami. Z powodu zaś że dwa te hotele są ciągle napastowane przez przyjezdnych, gospodarze ceny podwyższyli. Dodajmy do tego stratę na zmianie pieniędzy austrjackich, które gorzej stoją od serbskich, nieznajomość monety dziś zawilej, wreszcie niewiadomość o tem co tu jest rzadszem a co pospolitszem — a zrozumiemy łatwo, dla czego na drugi dzień rozejdą się po świecie depesze z Zemlina donoszące o strasznej drożyźnie w Belgradzie i grożącej nędzy. Przy podnieconej wojną wyobraźni i znacznem użyciu wina, nietrudno też dostać kataru lub chrypki — a wtedy będziemy mieli pogłoski o panujących tu chorobach i spodziewanej zarazie.

Takie też były relacje panów korespondentów w pierwszych dniach wojny. Później panowie ci częściej przyjeżdżając do Belgradu, mieli czas uspokoić się i przestali straszyć Europę. Ja jednakże przybyłem tu jeszcze pod wpływem tych korespondencyj i byłem niesłychanie zdziwiony, rzeczywistym stanem rzeczy jaki znalazłem. Ażeby was przekonać, iż ani rewolucja, ani drożyzna , ani zaraza nie grożą Belgradowi, przytoczę kilka faktów.

W mieście na ulicach wcale nie ma policji, ani żandarmów, ani wojska, bez czego by się z pewnością w żadnem innem mieście europejskiem podczas stanu oblężenia nie obyło. Ludność jest tak spokojna, i tak umie szanować powagę chwili, że nigdzie najmniejszych nieporządków od czasu rozpoczęcia wojny nie było, ani też żadnych sztucznych środków dla utrzymania tej spokojności używać nie potrzebowano. Jedynym objawem stanu oblężenia jest zakaz chodzenia po ulicy po wpół do 11 wieczorem i patrole złożone z obywateli, czuwające nad tem, ażeby ktoś nie zechciał korzystać z nieobecności mężczyzn po domach, lub żeby się jaki szpieg łódką w nocy do miasta nie dostał. Zresztą patrole te są bardzo wyrozumiałe i nie raz zapóźniwszy się do domu, co najwyżej zostałem odprowadzony pod strażą do hotelu bez żadnych z jej strony przykrości. Nawet przyjazd i wyjazd z miasta za granicę do Zemlina nie napotyka na żadne przeszkody, trzeba tylko paszport okazać ażeby mieć przejście swobodne. Rewizja rzeczy jest także bardzo lekka. Zewnętrzną część fortecy każdemu obejść wolno — a nawet jeśli kto chce się dostać do wnętrza, potrzebuje tylko dostać kartkę od ministra. Trzeba zaś wiedzieć, że tutaj stosunki z ministrami nie są takie, jak gdzieindziej, i każdemu wolno w zwykłem ubraniu i w każdej porze prosić o posłuchanie. Serbowie nie znają różnicy stanów i zarówno bogaci jak biedni ubierają się skromnie i nie wstydzą się jedni drugich. Minister, którego brat trzodą chlewną handluje, wcale się związków krwi nie wypiera. Szlachty nie znają tu, a księża traktowani są na równi ze wszystkimi innymi obywatelami.

Tylko podróż w głąb kraju nie jest dozwoloną cudzoziemcom bez upoważnienia ministra spraw zagranicznych. Korespondentom, chociaż oczywiście nie wszystkim, pozwolenia takie wydają, jeśli tylko osoba jest znaną, lub ma dostateczne dowody za sobą. Listy nie są otwierane i tylko piszącym z obozu kazano przedstawiać list komendantowi, dla przeszkodzenia rozsiewaniu fałszywych wieści. Mam jednak dowody, że nawet nieprzychylnych Serbom opinij nie wstrzymywano, byle tylko w nich fałszywych faktów nie było. Telegramy sprzedawane są zwykle na kartkach i roznoszone po mieście po południu. Treść ich niewątpliwie ulega modyfikacjom, o niekorzystnym wypadku często zamilczą, ale nie było dotychczas przykładu, iżby wprost zmyślono stan rzeczy jak to się w tureckich telegramach trafia.

Co zaś do samego miasta, to nie ma w niem najmniejszych oznak niezadowolenia; wszyscy wierzą w powodzenie dobrej sprawy i ufają rządowi. Kobiety bogate i ubogie odbywają dyżury w lecznicach, albo w domu zajęte są przygotowaniami dla rannych, robotą ładunków itp. To też na ulicy rzadko je spotkać można — chyba w okolicy cmentarza... Noszą one krótkie z szerokiemi rękawami kaftaniki czarne lub kolorowe, obszyte srebrem albo futrem okładane nawet w lecie, na głowie czerwone, często wyszywane denko otoczone i przymocowane do głowy czarnym warkoczem, który każda Serbka mieć musi, jeżeli nie własny to farbowany; czernią także brwi i rzęsy. Twarze ich są szerokie, ale inteligentne i wyraziste. Na ulicy piękną trudno teraz spotkać, ale w oknach, zwłaszcza w niedzielę, nieraz śliczna twarz się pokaże. Panie któreby u nas zaliczono do arystokracji najłatwiej zobaczyć w białym fartuszku w szpitalu. W lecznicej akademji wojennej zostającej pod kierunkiem Dr. Gąsiorowskiego, pracują między innemi: panie Leszjaninowa i Czolak-Anticz. Jedna tylko księżna, młodziutka i bardzo miła osoba, jeździ jeszcze na przechadzkę powozem i w otoczeniu huzarów — inne panie oddały konie wojsku i nie mają nawet czasu na przejażdżki.

Kupcy belgradcy stanowiący znaczną część ludności, ponieśli ogromne ofiary na rzecz kraju, wielu z nich składało trzecią część swego majątku, a pan Paranos jeden z najbogatszych, który był tak łaskaw, że mnie po całem mieście oprowadzał, wydał już na cele powstania hercogowińskiego i obecnej walki przeszło 50.000 dukatów. Człowiek ten marzy tylko o wyswobodzeniu swej ziemi z pod władzy Turków, a sam żyje tak skromnie jak właściciel małego handelku we Lwowie. Ofiarność Serbji jest tak wielka iż rząd serbski mógł wystawić 150.000 wojska nie zaciągnąwszy żadnej zagranicznej pożyczki i dotychczas innych pieniędzy prócz złota i srebra w kursie nie ma.

A z jaką gotowością spieszą rekruci pod sztandary, temu trudno uwierzyć, jeżeli się słyszy o małem powodzeniu dotychczasowych wypraw i strasznej zaciętości z jaką Turcy rannych mordują. Zwidzając obóz trzeciego powołania (od 20 do 50 r. życia) ludzi, którzy nigdy w wojsku nie służyli, których oderwano od pracy i od rodziny, byłem zdumiony ich wesołością i ożywieniem. Na rozległych górzystych błoniach pod Belgradem, mustrują ich nie mianowani jeszcze oficerowie: kupcy lub kelnerzy, którzy kiedyś w wojsku służyli, a wszystko to jeszcze bez broni w malowniczych, najrozmaitszych porządnych i podartych ubraniach, maszeruje ochoczo, śpiewa, śmieje się — tak jak gdyby wkrótce nie na pole walki, lecz na zabawę ludową iść mieli. Życie i zapał tryska z tych ogorzałych i wąsatych twarzy nie raz już wiekiem pochylonych. W niedzielę zwłaszcza, gdy kobiety są wolniejsze, pole ożywia się gośćmi, rozkładają się stragany, chłopcy sprzedają ciasta, cukierki i owoce, trąbią na małych trąbkach zachęcając do kupna, a nad wieczorem gromady rekrutów wracają do miasta z zielonemi gałązkami u czapek, wesoło i gwarno. Ochotnicy także ciągle się zapisują. W ostatnich dniach zgłosiło się listownie przeszło 200 oficerów francuskich, których jednak z powodu nieznajomości języka nie przyjęto, ale jest zamiar utworzenia osobnej legji zagranicznej z komendą francuską. Polaków i Moskali przyjmują chętniej, ponieważ łatwiej się wyuczą języka, inni zaś muszą przynajmniej kilka dni uczęszczać do Akademji wojennej, gdzie ich uczą serbskiej komendy. W ogóle jednak z powodu tak znacznego napływu cudzoziemców, robią teraz znaczne trudności oficerom i kilkunastu Moskali nie przyjęto. Natomiast przyjęto wczoraj w stopniu porucznika p. Marcina Kierskiego, który jutro odjeżdża pod Zajczar. Wszystko co pisano o panującej tu niechęci do Polaków jest nieprawdą. Serbowie mają tylko żal do nas za udział w tureckiem wojsku, co istotnie hańbę (?) nam przynosi, ale niechęci żadnej nie okazują i raczej przyjmą Polaka niż Niemca lub Francuza. Do konnicy tylko nie biorą już wcale oficerów, bo wszystkie miejsca są zajęte.

Rozmawiałem wczoraj z adjutantem Czerniajewa, który tu na jeden dzień przyjechał. Jest to młody chłopak, i widocznie bardzo ruchliwy, ale też zbyt głośny. W restauracji publicznie wygadywał na Leszjanina, wysławiając tylko Czerniajewa, jak gdyby Bóg wie co zrobił. Przyznaje jednak, iż nieraz im było bardzo ciężko i to przed zdobyciem Babinej Gławy, wszystko na wagę złota kupować musieli od Bułgarów.

W całym sztabie Czerniajewa panuje nienawiść dla Leszjanina, jak twierdzą za niestawienie się tego ostatniego na dany punkt, gdzie miano razem uderzyć, a jak ja sądzę, głównie dla tego, iż Leszjanin Rossjan nie proteguje. Pan adjutant chwalił nadzwyczaj męztwo Serbów, przytaczając za przykład, że w jednem starciu dwa batajony prawie całkiem wycięte zostały nie ustąpiwszy z miejsca. Razem z nami siedział przy stoliku pułkownik od piechoty — Serb, który powiada, iż wobec tych strasznych okrócieństw jakie Turcy na Serbach popełniają, on sam z zimną krwią dobijałby rannych Turków i swoich własnych, jeźliby nie było sposobu zabrać ich z pola bitwy. Opowiadał nam także o kilku walkach Czarnogórców, które mają być straszne. Górale ci biegają jak kozy po skałach i atakują w szalonym pędzie z jataganami w ręku; dobiegając do szeregów nieprzyjacielskich, robią wskok i wbijają noże w karki wrogów. W górach, kiedy z wysokości spadają, 50 ludzi może kilkuset Turków rozpędzić. Ale też gdy nie mogą się dobrać do ręcznej walki, zmykają równie szybko, by znowu zebrać się w górach. W każdym razie takiej szalonej odwagi jak u tych ludzi, gdy chodzi o wstępny bój ręczny, chyba nigdzie więcej nie widziano. W Serbskiem wojsku najlepiej się biją „dobrowolcy“ (ochotnicy) i armja stała, gorzej rezerwa, a najgorzej wołosi z Bułgarji.

Pewien ranny Poznańczyk, który już wrócił do armji, opowiadał mi, iż Belina byłaby na pewno wzięta, gdyby rezerwa nieotrzaskana w boju nie cofnęła się na pierwsze strzały armatnie. Ochotnicy w liczbie 350 wpadli do miasta i bili się tam przez dwie godziny, podczas gdy rezerwa już się cofnęła. Opowiadał mi także o szalonej odwadze Turków; kiedy podchodzili pod miasto na ów oddział ochotników, rzuciło się co najwyżej 70 ludzi z tureckiej konnicy. Ochotnicy sformowali się w czworobok i dali ognia kilkakrotnie. Z Turków zostało tylko pięciu całych na zdrowych koniach, i ci wpadli między szeregi serbskie, gdzie byli oczywiście rozsiekani. Poznańczyk ów dostał ranę w oko, ponieważ jednak strzał pochodził z rewolweru i wymierzony był ze znacznej odległości, kula więc odbiła się od kości czołowej przy oku, nie zrządziwszy głębszej rany, zdaje się jednak, że na to oko widzieć już nie będzie. Większa część rannych ma przestrzelone nogi, ponieważ Turcy strzelają leżąco. Wszyscy zaś stwierdzają wiadomości o barbarzyństwach tureckich, które trudno nawet powtórzyć. Ktoby o tem wątpił, ten niech przeczyta najnowsze zakazy Turków w tym względzie. Musiały tam być straszne wypadki, skoro sami baszowie rozstrzelali już kilkudziesięciu Czerkiesów za okrucieństwa. Turcy nie mają dotychczas ani rannych, ani do niewoli wziętych Serbów, podczas gdy w Serbji w pogranicznych szpitalach dosyć jest Turków, a i tutaj kilku przywieźli.

Kto nie zajrzy do szpitali tutejszych, ten z życia ulicznego nie domyśli się nawet ile ofiar naród ten ponosi dla świętej sprawy wolności. Na mieście cicho i spokojnie. Dzieci puszczają latawce, grają w guziki lub w wojsko. Te ostatnie jednak zabawki bywają niekiedy niebezpieczne, ponieważ tutaj każdy prawie chłopiec broń posiada i władać nią umie.

Przed dwoma tygodniami n. p. bawili się chłopcy w walkę Turków z Serbami, przyczem 14to letni syn jenerała Leszjanina jako Turek bronił fortecy. Jeden z zapalonych Serbów, który miał strzelbę nabitą, strzelił nieostrożnie i zabił chłopca na miejscu. U wieśniaków, mianowicie bośniackich, ludzi dzikich i nieokrzesanych choć dzielnych, nie trudno o walkę na noże. Każdy z nich według zwyczaju narodowego nosi rodzaj sztyletu u pasa, który mu służy do krajania chleba i do obrony zarazem. Otóż w tych dniach jeden z nich, któremu rana mocno dolegała, gdy dr. Sienkiewicz najstaranniej opatrywał mu nogę, chwycił za nóż i groził, że doktora zabije — dopiero łagodnemi słowy zdołano go uspokoić! Ludzie ci nie jęczą, tylko zęby zaciskają lub grożą, ale można im trafić do serca i umieją też uszanować prawdziwe poświęcenie. W szpitalu myślą tylko o powrocie do armji, a trzeba widzieć ich twarze kiedy nadejdą telegramy i kiedy jeden z nich czyta drugim głośno o mężnem odparciu Turków.

Oprócz telegramów na kartkach, wychodzą co dnia gazety polityczne: jedna codzienna urzędowa „Srbske Nowine,“ druga pół-urzędowa „Istok“ (Wschód) organ Risticza. „Glas Czrnogorca“ wychodzi tylko raz na tydzień i trudno go tu dostać. Natomiast przychodzą z zagranicy austrjackiej: „Graniczar,“ „Zastawa“ i „Obzor.“ Jest także kilka pism specjalnych miejscowych, ale te widzieć można tylko w czytelni, gdzie są francuskie i niemieckie. Rossjanie darmo posyłają swoje pisma, bo czytelnia jest uboga, a wartoby żeby i nasze redakcje toż samo zrobiły, tem bardziej, że jak mnie kilku Serbów zapewniało, chcieliby bardzo wiedzieć co się u nas dzieje i nauczyć się czytać po polsku. My narzekamy na wpływ Moskali, a zapominamy o tem, że gdy tamci wszystko co tylko u nich wychodzi, książki i pisma darmo tu przysyłają, nie mówiąc już o pomocy wojennej, to my nawet na roczniki Akademji z tutejszem Towarzystwem naukowem nie mieniamy się i nawet płótna starego na szarpie nie przysłemy. Ale umiemy za to krzyczyć i dziwić się, że nas dla naszych pięknych oczu za mało kochają. W imieniu więc tutejszych znajomych Serbów i Polaków, którzy mogą ojczystego języka zapomnieć, odzywam się do naszych redakcyj i do osób, które mogą pozbawić się kilku książek naukowych polskich, ażeby zechciały przysłać takowe do redakcji „Tygodnia,“ zkąd będą wysłane Towarzystwu naukowemu w Belgradzie.

Pisma adresować można wprost do Czytelni miejskiej: *Waroszte czitaliszte.*

POGADANKI.

XXXII.

Już to przyznam się otwarcie, że nie pamiętam nudniejszej wojny jak tegoroczna. Kampanje z lat 1854, 1859, 1866 i 1870 drażniły nerwy, zapalały wyobraźnię i jednych gniewały a drugich cieszyły. Krociowe armje stały na przeciw siebie, tysiące dział grzmiało ze stron obu, tysiące ginęło i dostawało się do niewoli — trony sypały się w gruzy i monarchowie składali szpady u stóp zwycięzcy. Tak było niedawno... a dziś? Pożal się Boże! Kilku Turków zginie od kul karabinowych, bo do walki na bagnety prawie nigdzie jeszcze nie przyszło, a z Belgradu telegrafują zaraz o wielkiem zwycięstwie; kilku Serbów padnie od strzałów tureckich, a ze Stambułu donoszą natychmiast o zupełnem rozbiciu nieprzyjaciela. A niech ich z taką wojną!... Jest ona w stosunku do poprzednich tak drobiazgowa, że aż nie wiemy z kim w niej sympatyzować — z Turkami czy Serbami. Ta niepewność naszych sympatji objawia się we wszystkich warstwach na całej przestrzeni ziem polskich. Ten powiada, że jest Serbem, tamten, że Turkiem; ten życzy pierwszym zwycięstwa, tamten by Turcy jak najprędzej rozbili Czerniajewa. Pierwszy usprawiedliwiając swoje sympatje, utrzymuje że stoi na gruncie „narodowym“; drugi, że trzyma się polskiej polityki „państwowej“. Słysząc te sprzeczne zdania, długo nie wiedziałem za którem się oświadczyć. i gdyby nie wycieczka na wieś w ubiegłym tygodniu, do tej chwili nie byłbym wiedział jak pokierować memi sympatjami w obec toczącej się wojny na Wschodzie. Mówią, że szlachcic polski nie był nigdy dobrym politykiem — a tymczasem w drażliwej tej sprawie właśnie szlachcic wybawił mię z kłopotu.

— Bo widzi pan — rzekł do mnie jeden z hreczkosiejów, który pamięta czasy księcia Konstantego — jeżli mam powiedzieć prawdę, to ja sympatyzuję tak dobrze z Serbami jak z Turkami. Żal mi Serbów, bo przecie to naród nieszczęśliwy, który według wszelkich praw boskich i ludzkich powinien być wolnym; lecz mimo to nie życzę im zwycięstwa, bo kiedy Moskale im przewodzą tak na polu bitwy jak w polityce, toć każde ich zwycięstwo wyszłoby na korzyść Moskwy i caratu, a tem samem na naszą szkodę. Nie chcę widzieć Turków w Europie, bo choć nam niejedną oddali usługę, zawsze to barbarzyńcy, którzy dla cywilizacji i dobra ludzkości nic już nie uczynią — ale mimo to życzę im zwycięstwa, boć tryumf półksiężyca w wojnie teraźniejszej jest klęską dla polityki moskiewskiej, oliwą podsycającą niechęć do rządu wśród społeczeństwa moskiewskiego, i kto wie nawet czy nie grobem dla caratu, na czem my przedewszystkiem możemy skorzystać.

— Więc pan dobrodziej — przerwałem — nie oświadczasz się stanowczo ani za jednymi ani za drugimi?

— Pewnie że nie. Mnie tam wszystko jedno kogo biją, byle lepiej się bili, bo jak ogień będzie większy, to może i Moskwie co się oberwie.

— Lecz za kim powinniśmy właściwie przemawiać?

— Za nikim panie dobrodzieju, słowo honoru za nikim... Mojem zdaniem tylko taka polityka byłaby dziś dla nas najwłaściwszą. Czy dzienniki nasze będą pisały za Serbami czy za Turkami, to ani jednym ani drugim nie pomoże, a polityczne stanowisko nasze zawsze tem skompromitujemy. Zapatrujmy się więc na sprawę każdej ze stron walczących całkiem objektywnie, nie chwalmy jednych ani gańmy drugich, i prośmy Boga żeby lepiej było, bo słowo honoru panie dobrodzieju cała wojna teraźniejsza funta kłaków nie warta!

Taką politykę rozwinął mój szlachcic. Czy miał on rację?

* * *

Gdy na Wschodzie krew się leje, Lwów nie może pozostać świadkiem obojętnym, to też od czasu do czasu, przynajmniej uliczną awanturą musi okazać, że i w żyłach jego synów bohaterska krew płynie. Oto w ubiegłym tygodniu jakiś porucznik tutejszej załogi pobił się z „cywilami“ i jednego czy nawet dwóch zranił pałaszem. I w tym także wypadku opinja publiczna podzieliła się na dwa obozy. Ci mówią że porucznik miał rację, tamci że jego przeciwnicy. Nie chcąc się znowu za żadną stroną stanowczo oświadczać, bo sprawy nie znam dokładnie, ośmielę się tylko wynurzyć żal głęboki, że rząd austrjacki, który po Solferino zaprowadził w swojej armji czerwone pantalony francuskie, nie poszedł także za Napoleonem III w kwestji ubioru oficerów. Oto Napoleon rozporządził, aby w Paryżu żaden oficer nie ośmielił się chodzić w uniformie po za służbą. Rozumnem tem rozporządzeniem chciano przeszkodzić awanturom między wojskowymi a „cywilami“. Oficer w uniformie, wszedłszy do kawiarni lub restauracji, nie raz i nie dwa może być narażonym na największe nieprzyjemności, bo jeżeli naprzykład usłyszy że ktoś zbyt surowo krytykuje armję lub panującego, wtedy sam jego strój nakaże mu wystąpić energicznie przeciw takiej opozycji, zaczem idą policzki, burdy i tym podobne przyjemności. Oficer w stroju cywilnym, może natomiast przysłuchiwać się wszelkim uwagom, bo wtedy nikt od niego nie żąda czynnej interwencji. Dzięki temu rozporządzeniu, w Paryżu nigdy nie wydarzały się burdy między wojskowymi a gorętszymi obywatelami. Jaka szkoda, że Austrja nie zaprowadziła tego zwyczaju przynajmniej w głównych miastach, gdzie ludność jest zwykle dość niepodległą, więc chętnie manifestuje się ze swojem zdaniem w miejscach publicznych i na ulicy.

* * *

Tegoroczna wystawa sztuk pięknych została już zamkniętą i losowanie obrazów przeznaczonych na nagrody wkrótce nastąpi. W tym roku wystawa wcale nie była bogatą. Zdaje nam się, że komitet Towarzystwa powinien teraz zastanowić się nad tem arcyważnem pytaniem, dla czego rok rocznie wystawy nasze są uboższe i wczas coś przedsięwziąć, bo inaczej w roku przyszłym gotowiśmy nic już nie dostać. W zarządzie Towarzystwa muszą być jakieś luki, które bez trudności dałyby się może wypełnić, tylko trzeba o tem pomyśleć, bo gdy się nic nie przedsięweźmie nic się nie zrobi. Z Warszawy donoszą, że wielki obraz Siemiradzkiego „Świeczniki Nerona“ o którym tyle już pisały nie tylko dzienniki krajowe lecz i zagraniczne, pojawi się wkrótce na tamtejszej wystawie sztuk pięknych. Czy nasze Towarzystwo pomyślało o tem, że świetne to płótno dałoby się może na jakiś czas i do nas sprowadzić? Koszta transportu pewnie by się wróciły, Towarzystwo mogłoby nawet coś na tem zarobić, a publiczność skorzystałaby nie mało.

* * *

Głuche wieści niosą, że ulubiony baryton naszej opery p. Köhler, opuszcza Lwów na zawsze i przenosi się do Warszawy; na jego zaś miejsce miałby być zaangażowanym jakiś Włoch ze Stambułu, który publiczności naszej wcale się nie podobał. Miejmy nadzieję, że ta pogłoska okaże się nieprawdziwą i p. Köhler zostanie, gdyż w razie zaangażowania nowego Włocha, opera nasza przestałaby już de facto być polską, czego dyrekcja teatru zapewne sobie nie życzy.

Na zakończenie zwracamy uwagę naszych czytelników na wiadomości zawarte w dzisiejszym naszym numerze pod nagłówkiem „Handel.“ Wszystkie rośliny, któremy dotąd uważali za niepotrzebne, mogą być teraz wysyłane do Francji, która nam za nie zapłaci. Nawet zielone ogonki od czereśni nie będą teraz na śmiecie wyrzucane — bo i za nie Francuzi zapłacą. Lecz na co im tych ogonków? Tego doprawdy nie wiem, i chyba powtórzę za drugim szlachcicem, który w ubiegłem stuleciu powróciwszy z Francji, upewniał ciekawych sąsiadów, że Francuzi z wszystkiego coś dobrego zrobią, bo naród to taki mądry, że tam nawet małe dzieciaki, które zaledwie odrosną od ziemi szwargocą po francusku.

Józef Rogosz.

BIBLIOGRAFJA.

Polska.

— Talmud i jego zasady, napisał Jakób Emanuel Fraenkel, z niemieckiego przełożył N. Landes, dyrektor szkoły w Bolechowie. Lwów — nakład Richtera. 1876.

Książka niniejsza jest odpowiedzią na dzieło profesora Dr. Augusta Rohlinga pt. „Żyd talmudyczny, czyli zgubne zasady talmudyzmu,“ które w roku ubiegłym wyszło w przekładzie polskim i wkrótce zostało rozprzedane. Rzecz naturalna, że p. Fraenkel zbija poglądy Rohlinga według sił i zdolności. Czy mu się to udało? Nam się zdaje że w niewielu tylko miejscach...

— Rys dziejów literatury polskiej, podług notat Aleksandra Zdanowicza, oraz innych źródeł opracował i do ostatnich czasów doprowadził Leonard Sowiński. T. III. Wilno 1876.

Trzeci ten tom jest obszerniejszym jak każdy z poprzednich, gdyż obejmuje sam jeden 791 stronic w ósemce. Autor poświęcił go piątemu okresowi literatury, od A. Mickiewicza do dni naszych. Nie da się zaprzeczyć, że dzieło p. Sowińskiego, które nareszcie mamy ukończone, jest bardzo cennym nabytkiem dla naszej literatury, tyle w niem pięknych i trafnych poglądów, ścisłości naukowej i szlachetnej tendencji. Dla tego z całą słusznością możemy tę książkę wszystkim najgoręcej polecić.

— Cesarzewicz Konstanty i Joanna Grudzińska, czyli Jakubini polscy — przez Jana Czyńskiego. Lipsk — Brockhaus, 1876.

Po dłuższej przerwie, w „Bibliotece pisarzy polskich“ wydawanej przez Brockhausa w Lipsku, pojawiła się książka niniejsza, w której autor opowiada historję rządów Konstantego w królestwie Polskiem. Formę obrał autor powieściową. Rzecz całą czyta się z zajęciem.

Wiadomości z kraju i ze świata.

Literatura i sztuka.

— P. Adam Kuliczkowski przygotował drugie wydanie swego „Zarysu dziejów literatury polskiej“ które to dzieło było już całkiem wyczerpane. Jak się dowiadujemy, autor pracę swoję znacznie teraz rozszerzył, opracowując dokładniej wieki średnie i uzupełniając wielu ważnemi wiadomościami literaturę Zygmuntowską. W podobny sposób i reszta będzie dopełnioną, ponieważ p. K. uwzględnił wszystko, co aż po rok 1873 pojawiło się w monografjach odnoszących się do dziejów naszego piśmiennictwa. Nie ulega wątpliwości, że nowa ta edycja książki p. Kuliczkowskiego zostanie jak najlepiej przyjętą, zwłaszcza że już pierwsza była u nas najlepszym podręcznikiem dla szkół średnich. Nakładem zajmuje się księgarnia K. Wilda we Lwowie. Dzieło całe wyjdzie w zeszytach, z których pierwszy, objętości 12 arkuszy pojawi się d. 20 bm.

— Ogłoszony konkurs na pomnik dla śp. Goszczyńskiego został rozstrzygnięty. Komisja przyjęła model p. Juljana Markowskiego. Na czworogrannym postumencie umieszczoną będzie nadnaturalnej wielkości figura zmarłego poety w postawie siedzącej, a u podnóża postumentu, na dość wysokich piedestałach, cztery figury naturalnej wielkości przedstawiające cztery główne poematy Goszczyńskiego: „Zamek Kaniowski,“ „Sobótkę,“ „Posłanie do Polski“ i „Trzy struny“. Wysokość pomnika wynosić będzie do 16 stóp, umieszczony zaś będzie tuż przy wejściu na cmentarz na lewo od kaplicy, bo w tem miejscu, gdzie teraz leżą zwłoki Goszczyńskiego, grunt jest mokry.

— Na muzeum przemysłowe w Warszawie złożono w drodze dobrowolnych składek dotychczas 65 tysięcy rubli. Porównawszy tę cyfrę z darami, które nasze muzeum otrzymało, jakże nasza ofiarność okaże się małą wobec ofiarności Warszawian!

— Z całych Niemiec zbierają się dziś miłośnicy muzyki Wagnera w Bayreuth w Bawarji, gdzie w umyślnie zbudowanym teatrze odegrane będą opery tego kompozytora. Urządzają w tym celu umyślne pociągi kolei żelaznych. Bilet wejścia i siedzenia kosztuje 100 marek. Król Ludwik zaprosił na tę muzykalną uroczystość cesarza Wilhelma, który tam z Gastein przybędzie.

— „Wiek“ warszawski pisze: „Dowiadujemy się, że znakomity nasz malarz Siemiradzki przybędzie z Rzymu do Warszawy we wrześniu, zkąd uda się do Petersburga. W miesiącu styczniu, słynny jego obraz „Świeczniki chrześcijaństwa“ wystawionym będzie u nas. Korespondenci „Wieku“ i recenzenci pism zagranicznych, tyle pochwał oddają temu nowemu utworowi autora „Jawnogrzesznicy,“ że wiadomość o ukazaniu się tego obrazu w naszem mieście, niezawodnie zajmie ogół naszych miejskich czytelników.“

— W paryskim teatrze „Gymnase“ dają teraz z wielkiem powodzeniem jednoaktową komedję Pawła Ferrier pt. „Pięć córek pana Castillon.“

— Pani Ratazzi przygotowała do druku w języku francuskim dzieło pt. „Urban Ratazzi i jego czasy.“ Dzieło wyjdzie w Paryżu.

Szkolnictwo.

— Radca namiestnictwa we Lwowie p. Edward Gniewosz, został mianowany radcą ministerjalnym w ministerstwie oświaty. Kraj cały z prawdziwą radością dowiedział się o tej nominacji, ponieważ charakter p. Gniewosza daje dostateczną rękojmię, że we Wiedniu będziemy teraz mieli gorącego rzecznika, który obojętnem okiem nie będzie patrzył na sprawę oświaty w Galicji.

Wykopaliska.

— W Szczercu, miasteczku położonem niedaleko Lwowa na linji kolei Arcyksięcia Albrechta, znaleziono w pokładzie kamienia gipsowego, sześć bardzo dobrze utrzymanych trzonowych zębów mamuta. Jeden z tych zębów znajduje się u miejscowego notarjusza p. B. Co się z innemi stało nie wiemy. Prawdopodobieństwo zachodzi, że w tem samem miejscu znajdą się także kły tego przedpotopowego olbrzyma, bo sześć zębów świadczą, iż tam całe zwierzę musiało zginąć.

— Znany archeolog Kirkor, który z ramienia Akademji umiejętności robił w okolicach Trembowli poszukiwania starożytnicze, nie daremnie się trudził, odkrył bowiem na wzgórzu wśród pól dworskich wsi Semenowa cmentarzysko pogańskie. W jednym z grobów znalazł w trumnie dębowej skielet żeński 173 centymetrów długi, pokryty warstwą wapna. Po obu stronach czaszki leżały dwa kółczyki, na klatce piersiowej dwa wisiorki podłużowate, widoczne cząstki naszyjnika. Na jednym z palców skieletu znajdował się pierścień kręcony. Wszystkie te ozdoby są z bronzu, który się okrył śniedzią zieloną. W trumnie były także czerepy gliniane. W drugim grobie znajdował się skielet męski 183 centymetrów długi. W czterech innych pogruchotane skielety. Wszystkie trumny były dębowe, spajane żelaznemi gwoździami, które rdza strawiła zupełnie.

— Towarzystwo archeologiczne w Atenach znalazło podczas poszukiwań na południowem stoku Akropolis, bardzo ważną tablicę pod względem historycznym i filologicznym. Jest to płyta marmurowa, pokryta napisem składającym się z 80 wierszy. Napis jest układem, zawartym między Atenami a Chalkis, gdy pod kierownictwem Peryklesa, jak Tucydydes podaje, podbili całą Eubeę.

Podróże i komunikacje.

— Jedną z najciekawszych i najważniejszych podróży współczesnych, odbył w kwietniu rb. misjonarz angielski M' Farlane, który postanowił zbadać południowe brzegi Nowej Gwinei. Szczęśliwy podróżnik odkrył dwie nowe rzeki, dwa doskonałe porty, kilkadziesiąt wysp dotąd wcale nieznanych i w ogóle sprostował bardzo wiele omyłek geograficznych, które po dziś dzień powtarzały się na wszystkich mapach. Wybrzeża i wyspy były licznie zamieszkałe przez ludność silną, zdrową, inteligentną i wcale nie dziką. Za kawałki żelaza, z których mieszkańcy tych stron robią pierścienie na ręce i nogi, M' Farlane otrzymywał podostatkiem żywności. Ludność mieszka w domach schludnych, czasem nawet wytwornie zbudowanych.

— Od Stanleya, który jak wiadomo puścił się w głąb Afryki, po bardzo długiem milczeniu przyszły nowe listy z datą 24go kwietnia r. 1876. Podróżnik znajdował się w tym dniu w państwie Unyamwesi, zkąd zamierzał wyruszyć do Ujiji.

— Od ekspedycji norwegskiej, robiącej poszukiwania w zimnej strefie na północy Oceanu Atlantyckiego, nadeszły nowe wiadomości. Wyprawa miała znaleźć jakieś nowe okazy świata zwierzęcego; głębokość wody morskiej sięgała miejscami do 1050 węzłów.

— Dnia 28. czerwca rb. dostrzeżono w rozmaitych miejscowościach Szwecji formalny grad meteorów. Jeden meteor w kształcie gruszki, miał stopę długości i był koloru połyskującego srebra.

— Roboty około kanału kaletańskiego postępują bez przerwy. Dotychczas nie natrafiono na żadną taką przeszkodę, któraby przestraszała inżynierów. Oile z dotychczasowych rezultatów można wnioskować, wszystko zostanie szczęśliwie ukończone.

Handel.

— C. k. jeneralny konsulat w Paryżu zawiadomił wys. c. k. ministerstwo handlu, że pewien rodzaj płodów surowych w Austrji uprawianych, a we Francji do celów oficjalnych i technicznych wielce używanych, znaleźć by mógł znaczny odbyt nie tylko we Francji, ale przez tamtejszy handel komisyjny także w krajach zaatlantyckich i że firmy w Paryżu E. Gillet rue Rosiers 3, — J. Bettelheim, 22 rue du Chateaud'eau, — J. Normandon 57, Quai Valmy oświadczyły gotowość udzielenia wszelkich wyjaśnień i pośredniczenia w hurtownej sprzedaży. Artykuły te są: Bzowy kwiat żółty, polny maczek czerwony, rumianek polny, kwiat dziewanny (verbescum), kwiat podbiału (tursilago fasfara) kwiat arniki, kwiat i korzeń ślazowy, kwiat malwy (vulgaris lub sylvestris) pospolicie ślazem zwanej, kwiat czarnej róży (malva arborea,) liście z malwy vulgaris lub silvestris — ślaz, ziele lulek (hyosciamus) liście z szalenia (belladona) ziele cykuty, liście mięty pieprzowej, liście szałwji, liście zębownika (chrysanthenum,) wosk i miód, zielone ogónki z czereśni, czerwieniec(?), fasole i soczewica, muchy hiszpańskie (kantharydy,) cynober (vermillon marque Empire,) suszone śliwki przydatne dla handlu komisyjnego do Ameryki, winny kamień (Weinstein) używany w wielu przemysłach i dobrze płacony — w miarę tego, ile zawiera w sobie sody. O czem lwowska izba handlowa i przemysłowa zawiadamia interesowanych.

Wycieczka.

— Oddział Towarzystwa Tatrzańskiego w Stanisławowie zamierza przedsięwziąć około dnia 20go bm. pierwszą wycieczkę w Karpaty przez Mikuliczyn, Chomiak na Czarnogórę, przez Krzyworównię, Śniatyn z powrotem. Osoby miejscowe życzące sobie wziąć udział w tej wycieczce zechcą się zgłosić do 10go bm. zamiejscowe do 15 bm. do dr. Eminowicza w Stanisławowie i zarazem złożą 10 złr. na pokrycie kosztów podróży, w co się wlicza podwody ze Stanisławowa do Mikuliczyna, ztąd konie wierzchem na Czarnogórę, do Krzyworówni, potem podwodami do Śniatyna i wreszcie koleją do Stanisławowa. Wydział zaprasza wszystkich członków, jako też lubowników podobnych wycieczek do jak najliczniejszego udziału; poznanie kraju rodzinnego, przyjemności z tem połączone i wiele innych korzyści wypływających, jakie widzimy po Towarzystwie Tatrzańskiem dla zachodnich Karpat, powinne być zachętą dla każdego; wreszcie wydział postarał się ze swej strony o możliwe wygody dla uczestników.

Statystyka.

— Na kongres statystyczny międzynarodowy mający się odbyć w Peszcie, zaproszeni zostali z Krakowa dr. Dunajewski i dr. Bochenek, profesorowie Uniwersytetu; ze Lwowa dr. Tadeusz Pilat, dr. Leon Biliński, p. Józef Kleczyński, urzędnik biura statystycznego w Wydziale krajowym i p. Tadeusz Romanowicz, referent spraw statystycznych w magistracie. Tegoroczny kongres statystyczny jest dziewiąty z kolei — a po raz pierwszy zaproszono do udziału statystyków i ekonomistów polskich. Kongres będzie podzielony na 5 sekcyj: 1) teorja statystyki i statystyka ludności — 2) statystyka sądownictwa i więzień — 3) higjeny publicznej, 4) rolnictwa i leśnictwa — 5) przemysłu i handlu. Obszerne memorjały i sprawozdania, mające być podstawą obrad, rozesłano już członkom. Obrady trwać będą od 1go do 7go września.

Wojskowość.

— Cała armja włoska otrzymuje karabiny systemu Vetrli.

— Roboty około twierdzy Metz są już prawie ukończone. Wszystkie forty otrzymały nowe działa, i w każdym znajduje się odpowiednia załoga.

ROZMAITOŚCI.

— Z jednej podróży po Meksyku podajemy następujący ciekawy wyjątek, bardzo trafnie malujący cały bieg sprawiedliwości w tym kraju, złe od którego nie prędko jeszcze ten kraj uwolniony zostanie. „W czasie pobytu mego w Cossolo — mówi autor — ujęty został rozbójnik uliczny, postrach ogółu, Joachim Pacheco, oddawna już za zabójstwo ścigany. Całe miasto szło jak na odpust do więzienia, aby się przyjrzeć przez kratę śmiałemu złoczyńcy ulicznemu, który w swej celi, wolny od trosk ziemskich, najspokojniej palił cygara. Na drugi dzień miano go badać; w skutek osobnego zalecenia udało mi się być przy tej czynności sądowej; oryginalność jej pozostanie mi na zawsze w pamięci. Miejsce posiedzeń sądu było nie wiele imponującem. Umeblowanie składało się z maty, zawieszonej na dwóch hakach u sufitu, a uplecionej z trawy; dalej z dwóch krzeseł bambusowych, ze starego przez robaki toczonego już stołu mahoniowego, chwiejącego się na nierównej kamiennej podłodze, wreszcie z haniebnej słomianki przy drzwiach. Na macie spoczywał wpół leżący, mały, wyschły jak szczypa człowieczek, z twarzą jak z gutta-perchy; wspierał się na łokciach, a rękę trzymał pod brodą; jego brudna, podarta odzież nieszczególne dawała wyobrażenie o sędziowskiej powadze. Na stole stała gliniana misa z rozżarzonemi węglami dla dogodności każdego, kto chciał zapalić cygaro lub cigaretto; obok zaś leżał pakiet cygar i kilka malutkich, cieniutkich papierosików. Na środku stołu znajdował się kałamarz kurzem pokryty; z kałamarza wyglądało pióro krótkie, zżółkłe od starości, ale papieru dojrzeć nie można było. Dla uzupełnienia obrazu sądu w Cossolo, niech czytelnik wyobrazi sobie Joachima Pacheco, jak on wyciąga się z całą flegmą obojętności na jednem z dwóch krzeseł sądowych, jak się kołysze na niem i odwraca tyłem do swych dozorców i dwóch dragonów, którzy siedząc przy sobie na słomiance, wziąwszy karabiny między kolana, skwapliwie zajmują się kręceniem papierosów dopóki ich obowiązek służby do czego innego nie powoła. — „No, h o m b r e (człowieku) — przemówił sędzia, unosząc się trochę z wygodnej swej pozycji, teraz weźmijmy się do protokułu". — „Za pozwoleniem waszem Senior" — rzekł Pacheco i niezważając na przemówienie sędziego, powstał z krzesła, podszedł do stołu i zapalił u przyrządu z węglami cygaro trzymane w palcach. — „Bez ceremonji, mój kochany — odezwał się sędzia — palenie tytoniu jest jednem z najważniejszych zajęć w życiu; ale jeżeli mam prawdę powiedzieć, to odkąd rząd zaprowadził monopol tytuniowy, wyroby są co raz gorsze." — „Jednak jest jeszcze dosyć chwatów, którzy sobie z tego nic nie robią, gdy im przyjdzie zamienić kilka strzałów ze strażnikami celnymi — odparł Joachim — a jeżeli wielmożność wasza chce się o tem przekonać, niech tylko raczy zrobić mi łaskę i przyjmie ten oto pakiet cygar." — „Chętnie mój przyjacielu — odpowiedział sędzia i wziąwszy podany sobie pakiet, wyciągnął natychmiast jedno z cygar i przy węglach zapalił. — Caramba! — wykrzyknął wąchając dym z cygara. — Masz słuszność. Wy rozbójnicy jesteście dziś jedynymi C a b a l e r o s, którzy palą dobre cygara. Mój chłopcze drogi, — ciągnął dalej jak najsłodszym głosem — musisz na prawdę przemówić za mną jedno choć przychylne słówko do kontrabandzisty, który ci tych wybornych cygar dostarczył. Nie będzie to ze szkodą twego przyjaciela, gdyż pomijając wynagrodzenie, kto wie czyli nie będzie w mej mocy dopomódz mu, gdyby go jaka nieprzyjemność spotkać miała. Ale do dzieła, jeżeli pozwolisz. Powiedz że mi na djabłaś zabijał tego biednego Antonio?" — „Jeżeli mam ci szczerą prawdę powiedzieć, panie sędzio—odpowiedział oskarżony z nadzwyczaj zimną krwią — to ja sam nie mogłem nigdy zrozumieć tego tak dobrze. Jeżeli mnie pamięć nie zwodzi, nerwy moje były owego poranku bardzo wzburzone a wiadomo jak drażliwość nerwowa źle usposabia." — „Przyczyna nieuniewinniająca — odparł sędzia — ale co chciałem powiedzieć, ile też każe sobie płacić twój kontrabandzista za jednę paczkę tych cygar?" — „Dwanaście realów, a w każdej paczce jest 32 sztuki." — „I za to każe nam rząd płacić dwa piastry, co znaczy 16 realów! — zawołał sędzia z uniesieniem. — Bah! nie mówcie mi na Boga o prawie i sprawiedliwości." — „Jestem zupełnie tego samego przekonania" — rzekł oskarżony. — „Słusznie, stary łotrze, ale przytem przychodzi mi coś na myśl... badanie już skończone, teraz wydam wyrok." Po tych słowach sięgnął zacny sędzia po pióro; lecz pióro tak mocno tkwiło w zaschłym atramencie, że go nie można było wyciągnąć. — „Caramba!"— wykrzyknął, zapomniałem także i o papierze stemplowym. Co tu robić?" Nagle, jak gdyby go jakaś idea natchnęła, zwrócił się do dragonów i rzekł: — „Ponieważ mi zabrakło papieru do pisania wyroku, biorę was przeto synki moje na świadków, jako niniejszy Joachim Pacheco, zabójca Don Antonia, skazany zostaje na śmierć i po upływie 48 godzin rozstrzelany ma być na miejscu zbrodni. Postępowanie zakończone — odprowadźcie skazanego do więzienia." We dwa dni po tym wyroku Joachim został rozstrzelany.

— Wiele mówią o zmyślności psa, słonia, konia i innych zwierząt szlachetnych, a jednak nie da się zaprzeczyć, że z małemi wyjątkami prawie każde ziemskie stworzenie ma przynajmniej w jednym kierunku silnie rozwiniętą inteligencję. I tak prawie nie ma zwierzęcia, któreby wychowując młode, nie postępowało z niemi z nadzwyczajną pieczołowitością i przezornością. Kota uważamy naprzykład za stworzenie nie bardzo inteligentne, a tymczasem piszący te słowa miał kota, samca, który mógł być ciekawym egzemplarzem do obserwacji dla badacza natury. Kot, o którym mówimy, był do swojego pana tak przywiązany, że gdy ten wychodził w jesieni z psem na polowanie, poczciwy Mruczek wybierał się także w drogę i często zdarzało się, że dopiero nad wieczorem powracał do domu. Gdy pies stawał, Mruczek siadał na zagonie i miaucząc czekał strzału. Zamknięty w spiżarni nigdy nic nie zjadł. Mruczek zadał także kłam twierdzeniu, jakoby kot przywiązywał się tylko do domu. Właściciel jego, przeprowadzając się z jednego końca miasteczka na drugi, zapomniał Mruczka w dawnem mieszkaniu, i dopiero trzeciego dnia wrócił po niego. Mimo skrzętnych poszukiwań kota nigdzie nie znalazł. Gdy kilka dni znowu upłynęło, właściciel był pewny, że Mruczek zginął bezpowrotnie, aż oto pewnego poranku kot wpada do pokoju przez okno otwarte, skacze na stół i rozglądając się w koło zaczyna miauczeć przeraźliwie. Widocznie biedne zwierzę zaglądało kolejno do wszystkich domów, szukając swojego pana, a znalazłszy nareszcie pokój, w którym stały znane mu oddawna meble, miauczeniem przywoływało tego, który je wychował. Najciekawszy był widok, gdy Mruczek swojego pana odprowadzał wieczorem do kasyna. Noc była nieraz tak ciemna, że o dwa kroki trudno było co odróżnić, a mimo to kot szedł za nogą; gdy pan wszedł do sali kasynowej, znajdującej się na pierwszem piętrze, Mruczek nie szedł za nim, bo w sali znajdowały się zawsze psy obcych właścicieli, które mu raz kurtę skroiły — lecz wyskakiwał na barjerę od galerji, i tam o głodzie i chłodzie czekał do północy, póki pan nie wyszedł. — W jednem z pism zagranicznych znajdujemy o innym kocie szczegół następujący. Pewna rodzina miała kotkę bardzo piękną, której atoli tę wielką przykrość wyrządzano, że jej małe zawsze topiono. Kotka widząc że w tych warunkach pokolenia swego nigdy nie wychowa, postanowiła podejść swoich tyranów i odtąd nie miała już nigdy małych w domu, lecz gdzieś w ukryciu, w jakiejś norze niedostępnej. Dopiero gdy kocięta o tyle podrosły, że nie potrzebowały obawiać się utopienia, matka przyprowadzała je do domu. Zdarzyło się raz, że właśnie podczas karmienia małych, ona sama zachorowała. Przeczuwając bliski swój zgon, biedna kotka udała się do swojej kryjówki, i po jednem zniosła do pokoju wszystkie młode. W kilka minut potem położywszy się obok swego potomstwa, sama zginęła. Widocznie czując, że żyć już nie będzie, wolała młode powierzyć opiece ludzi, aniżeli zdać je na łaskę losu w nieprzystępnej kryjówce.

— Gdy Napoleon I w r. 1807 wracał przez Niemcy do Paryża, książęta i królowie niemieccy zebrali się w Frankfurcie nad Menem, aby wielkiego mocarza przyjąć i ugościć. W pałacu księcia Taxis przygotowano śniadanie, którego urządzeniem zajmował się król Würtembergski Fryderyk. Cesarz Napoleon nie był jednak przyjacielem tego monarchy. Gdy wszyscy przy stole usiedli, król Fryderyk, zbliżał się z każdą potrawą do gościa dostojnego, lecz cesarz poruszeniem ręki zawsze go oddalał; taką samą odmowę dawał królowi, gdy ten przynosił mu napoje. W sali zapanowało prawdziwe przerażenie, tem większe, że stosownie do etykiety dworskiej nikt nie śmiał ani jeść ani pić, bo tego nie czynił wielki cesarz. Król Fryderyk, nie wiedząc co może być za powód takiego postępowania, zebrawszy nareszcie całą odwagę, ośmielił się zapytać Napoleona, czem mu może służyć. — „Proszę o ananasa!" — odparł wielki człowiek. Sokolim wzrokiem dostrzegł on braku tego owocu na stole i dla tego go zażądał. W sali zapanował chaos niesłychany. Przerzucono cały pałac od góry do dołu ale ananasu nigdzie nie znaleziono; posłano do miasta stu lokajów ale i oni nie znaleźli ananasu. Rozpacz królików osiągnęła szczyt kulminacyjny, gdy Napoleon otrzymawszy wiadomość, iż w całym Frankfurcie nie ma tego owocu, niezwłocznie salę opuścił i wyjechał, nic do ust nie wziąwszy. Jak z tego widać, wielki ten człowiek umiał dokuczać w najrozmaitszy sposób.

— Wszyscy słyszeli o głośnej rulecie w Monaco, ale nie każdy wie jaka jest historja tej miejscowości i do kogo ona należy. Monaco jest małym punkcikiem nad morzem Śródziemnem, ale obok tego punkcikiem tak pięknym, że kto go raz widział, temu nie tak prędko uleci on z pamięci. Stromo wznoszą się tu szare skały nad brzegiem wiecznie pięknego morza, ozdobione gajami oliwnemi i pomarańczowemi. Księstwo byłoby zresztą bardzo biedne, gdyby dziadek dzisiejszego właściciela, nie udzielił był panu Franciszkowi Blanc pozwolenia założenia w Monaco wielkiego domu gry. Jak wiadomo, córka tego pana Blanc wyszła w Paryżu za księcia Radziwiłła, któremu w posagu przyniosła 12 miljonów franków. Książęta Monaco pochodzą z rodziny Grimaldi, która w twierdzach Monaco i Monege miała niegdyś stałą siedzibę. Położenie tych miejscowości jest z natury tak obronne, że dawniej można je było wziąć wstępnym bojem tylko od morza, lub przez ogłodzenie. Korzystając z tak szczęśliwych stosunków, synowie rodziny Grimaldi, zajmowali się ongi korsarstwem, ale później połączywszy się związkami małżeńskiemi z Orleanami i Burbonami, wykierowali się na wielkich arystokratów i od Francji otrzymali tytuł książęcy. Rodzina Grimaldich dała Francji czterech wielkich admirałów, kościołowi kilku kardynałów, Genui jedenastu dożów, a Florencji jednego kapitana jeneralnego. Stosownie do okoliczności, książęta Monaco przyjmowali rozmaite załogi—to włoską, to hiszpańską, to francuską. Służąc każdemu królowi z osobna otrzymywali od nich tytuły i posiadłości. Z udoskonaleniem palnej broni, twierdze Monaco i Monege przestały być strasznemi, od tego też czasu monarchowie nie starali się więcej o przyjaźń rodziny Grimaldi, skutkiem czego jej znaczenie bardzo podupadło. Za czasów Wielkiej Rewolucji całe księstwo liczące 8.000 dusz, zostało wcielone do Republiki, ale Ludwik XVIII wstąpiwszy na tron zwrócił je domowi Grimaldi. Opłata z domu gry jest głównym dziś dochodem panującego księcia Monaco. — W chwili gdy to piszemy, przed Kurhauzem w Baden-Baden przechadza się prześliczny chłopczyk w towarzystwie angielskiej guwernantki. Na zapytanie odpowiadają że jest to następca tronu księcia Monaco. Śliczny ten malec mieszka dziś w Baden-Baden z matką swoją, córką księcia Hamilton, która wyszedłszy za księcia Monaco, bardzo prędko się z nim rozwiodła, i dziś drży na samą myśl, że dawny mąż odbierze jej jedynaka, który według prawa należy do matki tylko do 7 roku życia.

Treść Nr. 33.

Z drukarni A. J. O. Rogosza (Dziennika Polskiego).